MŁODY NURT

15 gr.



PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

N·2 dwutygodnik ROK·1

ZAPOWIADAMY

WIELKI KONKURS WAKACYJNY

Z NAGRODAMI

DOSTĘPNY DLA OGÓŁU MŁODZIEŻY SZKÓŁ ŚREDNICH

KONKURS

obejmuje trzy działy:

WYCZYN TURYSTYCZNY

ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE

PRACA LITERACKA

KOMISJA KONKURSOWA ROZDZIELI WIELE

CENNYCH NAGRÓD

SZCZEGÓŁY I WARUNKI KONKURSU W NASTĘPNYM NUMERZE

NOTATKI REDAKTORSKIE

Pierwszy krok jest już poza nami. Czas zdać relację o wrażeniu, jakie wywołało ukazanie się „Młodego Nurtu". Numer pierwszy, „debiut", doczekał się chóru krytyk, pochwał, uwag. Tzw. „biurko redakcyjne" zawalone jest stertą listów, nieprzerwanie napływających z wszystkich zakątków Polski.

Jedni twierdzą, że pismo za poważne, zbyt sztywne, inni uważają to za zaletę. Domagają się całego szeregu dodatkowych działów, a więc recenzyj kinowych, teatralnych, notatek o wydarzeniach politycznych itp. Wszystkie listy w jednym są zgodne: że ukazanie się pisma młodzieżowego, redagowanego przez młodzież przyjęte zostało z największą radością. Deklaracje współpracy z najdalszych zakątków kraju są dla „Młodego Nurtu" zapowiedzią pozyskania zaufania całej młodzieży.

W listach piszą nam o swych zainteresowaniach. Chcą pomówić o samorządzie szkolnym, samokształceniu, sporcie i tysiącu innych rzeczy. Dopiero przy lekturze tych listów okazuje się, ile problemów nurtuje nas, młodych. Szukamy rozwiązań, chcemy znaleźć drogę własną, chociażby okupioną trudami. Piszą nam o doli i przyszłości młodzieży wiejskiej, o problemie stosunku do pracy, o mniejszościach i programie w stosunku do nich oraz o radościach życia szkolnego, zbliżających się wakacjach itp. Są te listy świadectwem bujności życia młodzieńczego i zapowiedzią dojrzewania nowego pokolenia.

Naturalnie Komitet Redakcyjny pracuje i będzie pracował usilnie nad stałym polepszaniem pisma i każdą uwagę stara się zużytkować, ciesząc się z tego bezpośredniego kontaktu, który nawiązał się między redakcją a czytelnikami.

W planie mamy wielki konkurs wakacyjny. Chwilowo cały komitet ustala wymagania konkursu i biega po mieście szukając nagród. O wyniku tej bieganiny dowiecie się, Koleżanki i Koledzy, z numeru trzeciego. Drugi numer leży przed Wami i czeka na sąd. Czy jest lepszy od pierwszego? Ciekawszy, lepiej ilustrowany?

Jeszcze jedna uwaga. Szata graficzna pisma wymaga wielu starań i zmusza do wczesnego zamykania teczki redakcyjnej. Przysyłajcie materiał jeszcze przed 5-ym i 20-ym każdego miesiąca.

Oczekujemy listów. **Redakcja.**

MŁODY NURT

PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Nr 2 1 CZERWCA 1938 ROKU ROK I



Nadchodzi czas wędrówek...
fot. Photo-Plat

POBRATYMCY I BRACIA

Poczucie polskości, tkwiące w każdym młodym Polaku, staje się tym wyrazistsze, im więcej narażone jest na zetknięcie z czymś obcym, wrogim, niepolskim. To powoduje, że młodzież dojrzewająca na kresach państwa odznacza się wzmożonym patriotyzmem. Stale — każdego dnia, każdej godziny hartować musi w walce swą świadomość narodową, odpierać ataki i szturmować pozycje. Wytwarza to odmienną postawę psychiczną, uderzającą przy każdym bliższym zetknięciu swą żołnierskością i gotowością do walki.

Wśród wielu tysięcy kilometrów naszej granicy znajdują się odcinki wymagające specjalnej czujności, gdzie nie ustaje stan naprężenia. Jedno takie „zapalne" miejsce zlikwidowano po pełnych napięcia 48-godzinach polskiego ultimatum w stosunku do Litwy. Ośrodek zainteresowania przeniósł się obecnie na drugi kraniec Rzeczypospolitej gdzie od kilkunastu lat rodacy nasi zmuszeni są do walki o zachowanie najelementarniejszych praw narodowych. Mimo stałego podkreślania ideii panslawistycznej, w praktyce Czesi nie pozwalają uwierzyć w słuszność tej idei. Trudno bowiem dla pięknego hasła zamknąć oczy na ciężki los Polaków, mieszkających za Olzą. Nie odmawiając piękna tej myśli stwierdzić musimy, że życie i postępowanie Czechów w stosunku do Polaków wykazało całą nierealność hasła panslawizmu.

Nemezis dziejowa zawiesiła nad politycznym niebem naszego śląskiego sąsiada groźne chmury. Niefortunna polityka mniejszościowa spowodowała tendencje odśrodkowe. Niemcy sudeccy, zamieszkujący zwarte terytorium, żądają autonomii, tego samego pragną Słowacy, nie uważający się za mitycznych Czechosłowaków. Nasi rodacy od lat narażeni na walkę o szkoły, język, chleb, nie płoną zbytnim entuzjazmem dla Pragi. W pamięci wszystkich pozostało wspomnienie sposobu otrzymania Śląska Zachodniego przez Czechy i cały ich stosunek do Polski, borykającej się z wschodnią nawałą. Nie żywimy żadnego optymizmu co do uczuć ożywiających ówczesnych Czechów, zatrzymujących transporty broni dla armii polskiej, odpierającej bolszewików i wykorzystujących tę chwilę dla zagarnięcia terytorium polskiego.

Mój przygodny rozmówca cieszyński,, młody działacz społeczny, przez dwie długie godziny snuł opowieść o życiu rodaków za kordonem. O koncepcjach stworzenia szczepu Morawian, rzekomo spolonizowanego, o trudnej walce o szkoły, w której rodziców usiłowano łamać pozbawieniem pracy, o konfliktach, o akcji komunistycznej, tam mającej swą bazę wypadową. Padały nazwy, tętniące staropolszczyzną, nazwiska — równe najczystszym polskim z tej strony granicy, a które usiłuje się spreparować na swą „modłę". Nie było nienawiści w głosie opowiadającego, jedynie chęć zmiany tych warunków, wspomożenia braci. Miał na twarzy wypisaną śląską nieustępliwość, zaciętość i tę kresową gotowość chociażby do największego wysiłku.

„Cały okres powojnenny — mówił — gdziekolwiek się z Czechami spotkaliśmy, natykaliśmy na ich wrogość. Nie pragnęliśmy nigdy więcej, jak tylko uznania praw cząstki narodu polskiego zamieszkałego w granicach Czechosłowacji. Nie otrzymaliśmy tego. Chcemy współżycia i przyjacielstwa, ale szczerego i zadokumentowanego stosunkiem do Polaków za Olzą".

A potem mówił mi o młodzieży, żyjącej za tą rzeką graniczną. Spotkania z nią budzą wiarę w nasze zwycięstwo. Polskość okrzepła w tej walce i umocniła swe pozycje. Młodzi spodziewają się braterstwa i pomocy od nas, którzy swym zainteresowaniem i opieką mamy dać im rekompensatę trudów walki.

Stosunki polsko - czeskie mają wiele podstaw, ze względu na wspólność tradycji historycznej, możność współpracy na polu gospodarczym (dostęp do morza — Gdynia) by stały się przyjaznymi. Obecnie jednak muszę myśleć o pobratymcach, jako tych, którzy gnębią naszych braci.

Odbyte w niedzielę 29 maja wybory do rad gminnych na terenie zamieszkałym przez Polaków uwidoczniły wzrost siły polskiej. Wziąwszy pod uwagę warunki, w których odbywały się wybory, nacisk administracyjny, uznać musimy, że rodacy nasi odnieśli zwycięstwo i udowodnili, że żadna siła nie zmieni tego faktu, że czują się Polakami, chcą myśleć i mówić po polsku. My ze swej strony będziemy dla nich zapleczem, pełnym wiary w ich siłę i gotowym do podtrzymania ich na duchu. Stan obecny nie może się na długą metę utrzymać, jak wszelkie stosowanie przemocy dla osiągnięcia trwałych celów. Istnieje tylko jedna droga: uznanie praw narodowych. Polaków. Dopiero po spełnieniu tego warunku stosunki polsko - czeskie mogą wkroczyć na drogę przyjaźni.

Kryzys wewnętrzny Czechosłowacji, spowodowany błędnym stosunkiem do mniejszości, winien przyczynić się do zmiany postępowania i otworzyć okres pełnego poszanowania praw. Na ten okres wyczekują zarówno nasi współrodacy, jak i my. Musimy mieć dowody, że Czesi porzucają dotychczasowy swój stosunek do spraw Polski. Tylekroć jej szkodzili, czas na szczerą pokutę i naprawę wyrządzonych krzywd. To jest zasadniczy warunek, bez którego nie ma mowy o jakimkolwiek porozumieniu.

Flizikowski

Cieszyn

PRACA MŁODYCH BUDUJE POLSKĘ



Junackie Hufce Pracy powstały m. in. dla zlikwidowania bezrobocia wśród młodzieży. Szybko jednak wyrosły ponad tymczasowe „lekarstwo" i objęły szersze horyzonty. W ciągu kilkoletniego swego istnienia praca organizacyjna przybierała najrozmaitsze formy.

W chwili obecnej J. H. P. posiadają ustalony zespół metod pracy i wyrosły na twardą szkołę obywatelską. Zasięg tej szkoły rozszerza się nieustannie.

Nowa ustawa o służbie wojskowej wciąga do Służby Pracy absolwentów szkół średnich.

Celem J. H. P. jest wykonywanie prac związanych z obronnością Państwa i jego rozwojem gospodarczym a jednocześnie przez pracę fizyczną i dokształcanie pragną stworzyć z junaków dobrych obywateli.

J. H. P. nie zapominają również o pracy społecznej. Z swych skromnych zarobków potrafili junacy ofiarować wielkie sumy na cele społeczne a co ważniejsze, dobrowolną pracą nadprogramową przyczynili się junacy do realizacji szeregu akcyj społecznych.

Służba pracy absolwentów szkół średnich pozwoli im na zapoznanie się z psychiką młodzieży pracującej fizycznie, zetknie ich bezpośrednio z warunkami pracy i bytowania szerokich rzesz młodzieży robotniczej i wiejskiej. Nauczą się poszanowania dla pracy fizycznej i zrozumieją jej znaczenie dla jednostki i państwa. Przez kadry J. H. P. będzie przechodził odtąd każdy maturzysta przed zaczęciem samodzielnego życia. Wartości wyniesione z tej służby będą jeszcze jedną cegiełką w budowie psychiki żołnierza obywatela.

Pierwsze doświadczenia poczynione w ochotniczej służbie maturzystów pozwalają na wyciągnięcie optymistycznych wniosków. Zaczynamy etap przymusowego przeszkalania młodzieży w J. H. P.

Ma to olbrzymie znaczenie dla przekształcenia psychiki inteligenta. Intelektualizm szkoły uzupełni twarda praca fizyczna, służba w przepełnionej karnością organizacji, Maturzyści tegoroczni będą pionierami nowego typu wychowania.

Klemens Ciszkowski



DOM I ŚWIAT

Koleżanki! Wprowadzamy na łamy „Młodego Nurtu dwie dziewczynki: Zosię Rajczakównę i Ewę Krzewińską. Będą one od czasu do czasu dyskutowały na tematy im bliskie, a obchodzące wiele ich rówieśniczek. Jeżeli ich sprawy zajmą was, jeżeli zgadzacie się z nimi, lub macie zdania przeciwne, jeżeli na te tematy miałybyście coś więcej do powiedzenia — napiszcie, podzielcie się z nami swoimi poglądami. Redakcja chętnie zamieści arty..ły każdej z was. A może Zosia i Ewa staną się dla Was c.ymś więcej, niż rozgadanymi dziewczętami z „Młodego Nurtu"?

Zosia Rajczakówna i Ewa Krzewińska skończyły dopełnianie notatek z ćwiczeń fizycznych. Ewa z wielką ulgą oderwała się od pracy — upał był niemożliwy — siądła do pianina i zagrała sentymentalne tango. Zośka, wtulona w kąt na tapczanie, między poduszki, siedziała zasłuchana. Gdy ostatnie tony umilkły, zaczęła mówić...

— Wiesz Ewa, bardzo lubię twój dom i twój pokój, miło tu jest posiedzieć i pogadać sobie, nawet jak nic nie robimy — uważasz, taka „towarzyska" rozmowa w starym stylu, miłym nastroju itd. — ja jakoś nie mam swojego kąta w domu i na nastrój ani czasu, ani możliwości.

— Ech, opowiadasz — przerwała jej Ewa — nie dbasz o to, nie zależy ci na domu, wiecznie gdzieś jesteś zapędzona, więc jak już czasem u mnie klapniesz na pół godziny, to ci się wszystko podoba.

— Ja jednak myślę, że to jest trochę inaczej — że ty masz na tapczany, książki, pianina, aparaty fotograficzne i że to po prostu sprawa pieniędzy.

— I tu właśnie mówisz największą nieprawdę. Pomyśl tylko: mój pokój jest jednocześnie jadalnią całej rodziny, tapczan jest przerobiony ze starego drewnianego łóżka, a haftować poduszki i serwetki możesz równie dobrze ty, jak ja. I, naprawdę, Zośko, chcę cię przekonać, że to jest kwestia wyłącznie dobrych chęci.

Zosia Rajczakówna siedziała trochę pochmurna, choć słońce zalewało cały pokój, a w otwartych drzwiach balkonu drgały złociste pyły. Tak, rzeczywiście, nie bardzo dbała o dom i fatałaszki, o abażury i wstążeczki, o całe przedpotopowe panieństwo różowo - niebieskie, śmieszne i naiwne. A zawsze u Ewy jakoś jej się to podobało. Ale przecież to sentymentalne głupstwo — ot, nastroik, wywołany tangiem. Zaczęła więc rzeczowo:

— Panieńskie pokoje — moja droga, to może się podobać chwilowo, ale ostatecznie my, współczesne dziewczęta, musimy przygotować się do twardego życia, do samodzielności, musimy brać udział w pracy społecznej i zarobkowej na równi z mężczyznami. Zresztą, ja marzę o szybowcach i zaraz po gimnazjum pierwsze wakacje spędzę gdzieś na Sokolej Górze na szybowisku — pomyśl — człowiek może mieć taką przestrzeń przed sobą, a dobrowolnie zamyka się w czterech ścianach.

— Ależ Zocha! Nie wolno być jednostronną. Ja już dawniej chciałam z tobą porozmawiać na te tematy i doskonale się składa, że dziś takeśmy się zgadały. Pomyśl, przecież ty zupełnie nie masz swojego życia, takiego, żeby to można sobie o czymś spokojnie pomyśleć, coś rozważyć, nad czymś przesiedzieć. Ty wiecznie latasz; a to samorząd, a to sporty, a to obchód, a to kwesta, to znów angielski na mieście, zebrania, zarządy — ja w ogóle się dziwię, że ty masz czas odrabiać lekcje. Ja zupełnie nie potrafiłabym tak żyć. Nie mówiłabym o tym, ale od jakiegoś czasu widzę, że ci jest z tym źle. No Zocha przyznaj się, ale tak naprawdę, że ty lubisz u mnie posiedzieć, bo jest spokojnie i nie trzeba działać, czynić, przemawiać, pisać sprawozdań. Czy nie tak?

Rajczakównie zrobiło się smutno — wyciągnęła rękę i poczęła głaskać płową wilczycę, która zwinięta w kłębek, leżała obok na tapczanie. Zrobiło jej się czegoś żal. Ale Ewa sama przecież jest samodzielna i wcale nie gąska.

— No dobrze, a przecież ty także jeździsz na nartach, lubisz fizykę, zbudowałaś sama aparat radiowy, pisujesz do gazetki szkolnej, więc dlaczego mnie przerabiasz na styl prababki?



Rozmowa przyjaciółek.

Ewa wybuchnęła śmiechem.

Ach ty moja prababko kochana, latająca na szybowcu... Jesteś zupełnie niemożliwa, jak zaczynasz bronić się takimi argumentami. — Zrozumże taką prostą prawdę, która dla mnie jest jasna jak słońce — że zainteresowania i udział we współczesnym życiu to jest rzecz dobra i ważna, ale obok tego musi u kobiety iść równolegle życie własne, kobiece. Dlatego mnie interesuje fizyka i uprawiam sporty, i buduję sobie radio, ale jednocześnie haftuję poduszki, ceruję braciom skarpety i bieliznę, nie mogłabym się wyrzec robót ręcznych, ani tego, żeby gdy przyjdzie wiosna — flancować kwiaty na balkonie, ani tego żeby mieć pod ręką blisko parę ulubionych książek z poezją. No, poprostu nie umiałabym!

— Tak, Ewa — ja nie chcę cię urazić, ale z takim połowicznym oddaniem się swoim zainteresowaniom daleko nie zajedziesz. A ja marzę właśnie o tym żeby coś zrobić wielkiego, żeby przysporzyć społeczeństwu jakąś wielką wartość, a sobie sławę.

— Czekaj, Zośka — czy dla ciebie Curie - Skłodowska była osobą sławną?

— No tak, ale ona napewno nie haftowała robótek...

— Tak ci się zdaje? Więc wyobraź sobie, że niedawno czytałam jej życiorys, napisany przez jej córkę i wyczytałam tam, że Curie - Skłodowska, pracując w laboratorium nad radem i polonem... smażyła jednocześnie konfitury i prała pieluszki swoim dzieciom. Poddajesz się?

Przez pokój wolnym krokiem przeszła na balkon wilczyca. Ewa zawołała:

— Mika, nie rusz kwiatów!

I Mika położyła się w smudze słońca na progu balkonu, wpatrzona w swoją panią. Zośka zaczęła się żegnać, gdy przyszła pani Krzewińska.

— Cóż to, Zosiu, już idziesz? Zostań na podwieczorku. Masz Ewa pierwsze konwalie, wstaw w wodę.

Zocha, czekając podwieczorku, przyglądała się Ewie, jak umieszczała kwiaty w wazonie, jak je starannie stawiała na półce z książkami, jak nakrywała do stołu i nastawiała radio własnej konstrukcji. Podziwiała w Ewie jej wszechstronność. I naprawdę myślała, że Ewa ma jednak rację.

Joanna Podlodowska.

EWA CURIE — „MARIA CURIE"

Maria Curie...

Słyszało się o niej w dzieciństwie — o cudzie tajemniczych promieni, leczących straszną chorobę.

Czyniono z jej nazwiska transparent w walce o równouprawnienie — argument przeciwko nawoływaniom do „Küche, Kindern, Kirche".

Marzyła się jej sława kilkunastoletnim dziewczynkom z poplamionymi atramentem palcami — gdy dobrze poszła klasówka z algebry i zachwycone ciocie orzekły: „to będzie druga Curie - Skłodowska".

Potem, w siodmej klasie czytało się jej nazwisko w rozdziale o promieniotwórczości — krótką lakoniczną wzmiankę o „naszej znakomitej rodaczce". Rozciągało się tę wzmiankę w nieskończoność odpowiadając przy tablicy, zwłaszcza, jeżeli człowiek miał mętne pojęcie o promieniowaniu

W pracowni fizycznej, w szkole wisiała fotografia Marii Curie — czarno ubranej, siwej pani o surowej twarzy. I nagle — książka Ewy Curie: życiorys, wspomnienie, czy jeśli kto woli, powieść biograficzna. Oto fotografia zaczyna żyć.

Widzimy małą dziewczynkę na pensji w Warszawie, nauczycielkę prywatną we dworach (osoba „nie z towarzystwa") uczącą ukradkiem czytać chłopskie dzieci. Widzimy studentkę Sorbony, głodującą w nieopalonym pokoju.

Inne jeszcze nasuwają się refleksje. Często zapytujemy się, czy kobieta może pogodzić pracę zawodową z obowiązkami rodzinnymi. I oto widzimy przedziwną harmonię, przedziwny artyzm życia. Maria Curie — żona i matka stwarzająca jasną atmosferę rodzinnego życia niemniej może przemawia do wyobraźni czytelnika niż wielka uczona kreśląca nowe szlaki fizyki

Bywają ludzie, którzy wyrastają ponad miarę swego czasu wielkością inną, niż wielkość sławnych zdobywców. Są to ci, dla których ideał prawdy i własny ideał moralny stanowiły jedność nierozerwalną. Sokrates, Galileusz, Pasteur. W rzędzie tych ludzi staje Maria Curie. Książka o Marii Curie budzi wiarę w braterstwo ludzi. Budzi dumę, że człowiek może sięgnąć takich wyżyn — wszyscy przecież jesteśmy **aż ludźmi.**

Dziś — w czasach szybkiego wyścigu zbrojeń — w czasach, kiedy kruszymy kopie o najrazmaitsze „izmy", kiedy człowieka zaczyna się traktować jako dodatek do głoszonego programu — specjalnej wymowy nabiera ta książka o wielkiej mocy i wielkim pięknie człowieka — książka o Marii Curie.

Wanda Wysznacka



NA PODBÓJ STRATOSFERY



A więc lecimy do stratosfery. Wysoko. Dużo wyżej niż inni, bo chcemy przekroczyć aż 30 km. Nasze przygotowania do lotu stratosferycznego odbywają się w ciszy; nie towarzyszy im głośna reklama, tak jak np. miało to miejsce w lotach amerykańskich czy sowieckich baloniarzy.

Nad konstrukcją polskiego balonu stratosferycznego i nad przygotowaniem naukowym lotu pracują już od roku nasi najwybitniejsi uczeni, technicy i nawigatorzy.

Sztab naukowców rozwiązuje w laboratoriach i pracowniach niezliczone zagadnienia, wiążące się ściśle z naukowymi celami wyprawy w stratosferę. Najwybitniejsi technicy biedzą się nad szczegółami konstrukcyjnymi stratostatu.

Trzeba obliczyć każdy szczegół z dosłownie matematyczną dokładnością, wykluczającą możliwość jakichkolwiek niespodzianek. Umiejętność przewidywania musi być doprowadzona do szczytu doskonałości.

Lot do stratosfery — to nie „niedzielna przejażdżka" niewielkim balonem, pozbawiona romantyzmu niespodzianek i zewsząd czyhających niebezpieczeństw. To wielka i odkrywcza wyprawa w nieznane...

W nieznane, gdyż człowiek nie dotarł dotąd nigdy do wysokości 30 km. A nasz lot do stratosfery ma osiągnąć, a może i przekroczyć tą wysokość.

Nie sądźmy jednak, że chodzi tu wyłącznie o wyczyn sportowy, o nowy zapis na liście światowych rekordów. Właściwymi inicjatorami lotów do stratosfery byli — i są dotąd — naukowcy. Oni przypuścili pierwszy atak do stratosfery, chcąc jej wydrzeć liczne a niezbadane dotąd tajemnice.

Ustalmy przede wszystkim jedno : oto „odkrycie" stratosfery nastąpiło stosunkowo bardzo niedawno. Uczeni późno stwierdzili fakt, że można odróżnić dwie najbliższe, otaczające ziemię powłoki atmosferyczne.

Dopiero w r. 1899 francuski uczony L. Teissezenc de Bort odkrył, że, począwszy od 10 do 11 kilometrów, temperatura atmosfery nie opada, lecz utrzymuje się mniej więcej na tym samym poziomie.

Świat naukowy odnosił się jednak początkowo do spostrzeżeń wybitnego badacza dość krytycznie. W dalszym ciągu obserwacje francuskiego uczonego potwierdzili i inni specjaliści, poświęcający się badaniu powietrza.

W ten sposób stratosfera uzyskała oficjalne prawo obywatelstwa w świecie naukowym.

Najłatwiejszą cechą, umożliwiającą nam odgraniczenie stratosfery od otaczającej ziemię warstwy powietrza, zwanej troposferą, jest przede wszystkim rozkład temperatury na różnych poziomach powietrza.

Pomiędzy stratosferą a troposferą istnieje warstwa przejściowa, zwana tropopauzą, której „grubość" nie przekracza na ogół 3 kilometrów.

W ten sposób nasz balon stratosferyczny, opuściwszy troposferę, znajdzie się w stratosferze dopiero po przebyciu

Mjr. Mazurek objaśnia P. Prezydentowi plan wyprawy stratosferycznej.



tropopauzy. Droga wzwyż, trzeba przyznać, jest więc dość urozmaicona.

Odkrycie stratosfery musiało naturalnie wywołać zrozumiałą dążność do jej bliższego poznania i zbadania. Tylko w jaki sposób wydrzeć tajemnicę górnych warstw powietrza? Obserwacje przeprowadzone na ziemi dostarczyły bezwzględnie wiele ciekawego materiału naukowego. Ale to nie było wszystko. Najciekawsze i najwartościowsze dane można było zebrać „na miejscu" w stratosferze. Trzeba się było do niej tylko dostać. Pierwszy dokonał tego Piccard w r. 1931.

Były zresztą i próby dawniejsze. Warto tu zwłaszcza wymienić rekordowy lot Amerykanów Coxwella i Glaishera, dokonany na balonie wolnym w r. 1862. Dzielni lotnicy osiągnęli wysokość 11 kilometrów.

Jeszcze wyżej wzniósł się w otwartym koszu, ale już uzbrojony w aparat tlenowy do oddychania, kapitan armii amerykańskiej Gracy. Zdobywca wysokości 12,9 km. przypłacił jednak swój śmiały lot życiem, gdyż zmarł w drodze powrotnej na skutek zimna i rozrzedzonego powietrza. Tlen okazał się więc niewystarczający. Bohaterski lotnik do ostatniej chwili prowadził zapiski naukowe.

Do badań stratosferycznych używano, a i dziś się używa, tzw. baloników - sond, unoszących do stratosfery samopiszące aparaty. Baloniki te osiągają wysokość na której ciśnienie zewnętrzne jest tak niskie, że pod wpływem ciśnienia gazu, znajdującego się wewnątrz balonu, następuje pęknięcie gumowej powłoki. Otwiera się wówczas automatycznie spadochron, przy którego pomocy lądują na ziemi samopiszące aparaty.

Jest jednak rzeczą jasną, że wyniki osiągane przez baloniki - sondy nie mogą nigdy zastąpić wyników badań naukowych, poczynionych przez człowieka w samej stratosferze.

W wielu wypadkach okazała się niezbędność nie automatycznego przyrządu, chociażby najdoskonalszego, ale żywego myślącego człowieka.

Pionierem naukowych i programowych lotów do stratosfery był August Piccard, szwajcarski profesor uniwersytetu w Brukselli. On pierwszy wzniósł się do stratosfery w zamkniętej gondoli balonu stratosferycznego, którego konstrukcja przystosowana była do tego wielkiego wyczynu.

Dzień 27 maja 1931 roku wyrył się też trwałymi głoskami w księdze wypraw do stratosfery. Piccard z towarzyszem osiągnęli wówczas wysokość 15.780 m.

Od czasu pierwszej wyprawy Piccarda, który wzniósł się jeszcze do stratosfery i w rok później, mieliśmy osiem dalszych lotów, organizowanych przez Belgię (drugą ojczyznę Piccarda), Stany Zjednoczone i Sowiety.

Ostatnia wyprawa do stratosfery, organizowana w r. 1935 przez Stany Zjednoczone, przyniosła dotychczasowy rekord wysokości. Znakomici nawigatorzy amerykańscy Stevens i Anderson,, startujący do stratosfery rok przedtem, osiągnęli za drugim razem wysokość 20.066 m., bijąc tym zaledwie o 66 m. wyczyn sowiecki z r. 1934.

Wierzymy wszyscy, że r. 1938 ustanowi nowy rekord światowy. Zdobyć go powinni Polacy: obserwator naukowy dr K. Narkiewicz - Jodko i piloci: kpt. Burzyński i kpt. Hynek.

Podkreślaliśmy już wyżej, że w lotach do stratosfery nie chodzi o zdobycie rekordu wysokości, ale przede wszystkim o zebranie odpowiednio obfitych, różnorodnych i cennych materiałów naukowych.

Wyprawa do stratosfery ma liczne cele naukowe i wywołuje olbrzymie zainteresowanie ze strony fizyków, chemików, meteorologów i fizjologów. Każda z tych dziedzin nauki może się poważnie wzbogacić badaniami, przeprowadzonymi w stratosferze.

Opracowano więc, przy współudziale sztabu naukowców, obfity program prac, którą będzie musiała wykonać nasza ekipa stratosferyczna.

Badany więc będzie m. in. rozkład temperatury w stratosferze, skład chemiczny powietrza, zjawiska elektryczne, zagadnienia fotografowania w promieniach podczerwonych, zmiany fizjologiczne występujące u ludzi, przebywających na wielkich wysokościach, a wreszcie i tzw. promienie kosmiczne.

Przygotowania do naszego lotu stratosferycznego są w pełnym toku. Jesteśmy też wszyscy przekonani, że nasza zwycięska wyprawa na podbój stratosfery będzie na ustach całego świata.

Białystok **J. Nowak**



MŁODZIEŻ NAJPOTĘŻNIEJSZEGO IMPERIUM



Sprawdzanie obecności w angielskim kolegium

Młodzież angielska posiada cały szereg cech charakterystycznych, różniących ją bardzo od rówieśników z kontynentu. Szczęśliwe położenie geograficzne i polityczne zapewniające jeszcze do niedawna zupełne bezpieczeństwo ich krajowi i ochraniające przed niszczącymi skutkami wojen, wielkie imperium zamorskie, które pozwala jednostkom najbardziej przedsiębiorczym i wartościowym przeprowadzić próbę swego charakteru w twardej szkole życia kolonialnego, wyrabia typ młodzieży angielskiej.

Wysoce rozwinięte formy życia społecznego powodują, że ogólne nastawienie młodych ludzi, mimo ustroju monarchicznego, licznej arystokracji rodowej i pieniężnej, jest zgruntu demokratyczne. Angielski system wychowawczy potęguje jeszcze poczucie wzajemnej współzależności jednych od drugich.

Ponieważ w urabianiu i kształceniu typu młodzieży męskiej odgrywa ogromną rolę szkolnictwo średnie i wyższe warto się z nim zapoznać.

Młody dziesięcioletni czy jedenastoletni chłopak musi opuścić swój dom rodzinny i udać się do szkoły połączonej z internatem, gdzie spędza sześć do ośmiu lat. W internatach pod czujnym nadzorem wychowawców nie tylko uczy się, lecz i wychowuje. Na rozwój fizyczny, wyrobienie dobrych cech charakteru, obycie towarzyskie, zwrócony jest równie silny nacisk, jak na samą naukę.

Życie w dużej grupie rówieśników, wspólne mieszkanie, spożywanie posiłków, gry i zabawy, wyrabiają silne węzły koleżeństwa i solidarności. Roz nawiązany kontakt ze szkołą nigdy się nie kończy, po opuszczeniu murów szkolnych młodzienie przybędzie z drugiej półkuli na zjazd wychowanków gimnazjum, przyśle cenne kolekcje zbiorów naukowych z krajów egzotycznych dla pracowni swej szkoły, odda wreszcie syna pod opiekę tych samych pedagogów, którzy czuwali nad jego młodzieżą.

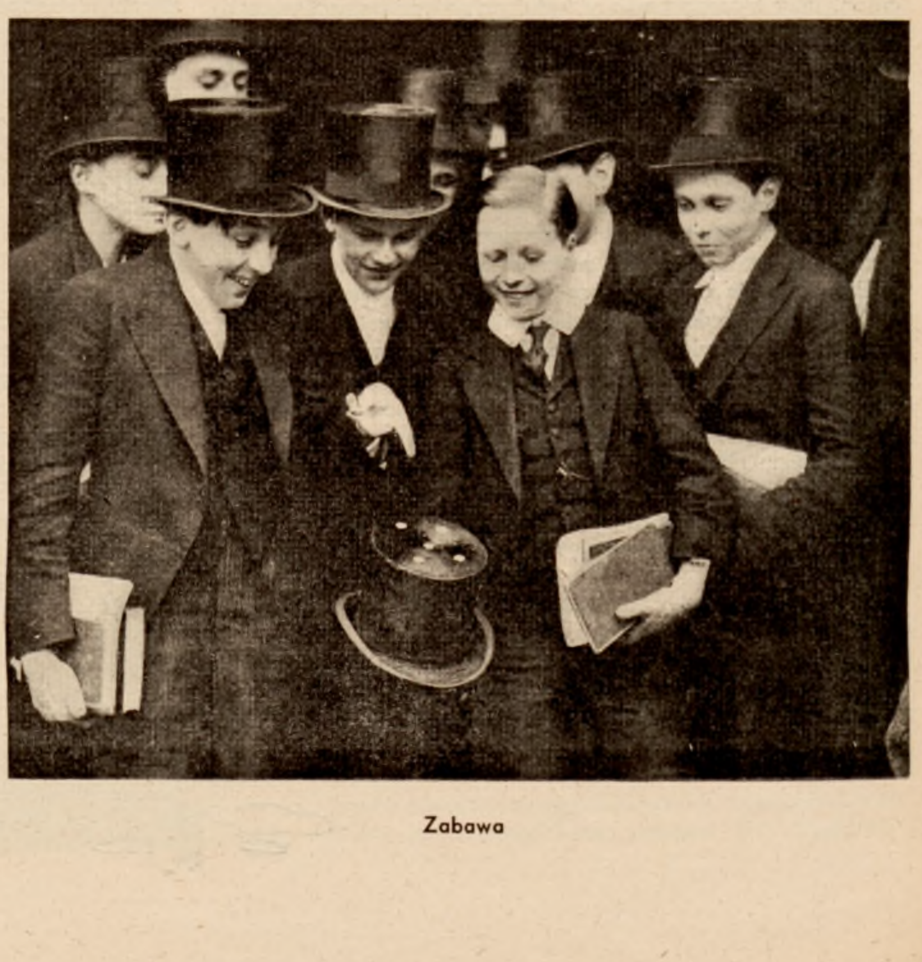
Ilość gimnazjów w Anglii jest dużo większa niż w Polsce i przez ich progi przewijają się szerokie rzesze młodzieży angielskiej. Natomiast ze specjalnych cech charakteru rasy anglo - sakiej wynika fakt, że procentowo nieznaczna ilość studiuje dalej na uniwersytetach.

Młody człowiek po skończeniu gimnazjum zastanawia się nad tym, co w przyszłości da mu większe możliwości życiowe, gdzie zrobi, mówiąc poprostu karierę. Zamiast iść na uniwersytet i studiować przez kilka lat by potem zostać nienadzwyczajnie płatnym urzędnikiem, młody Anglik woli skończyć jakieś dodatkowe kursy handlowe lub stenografii, które zapewnią mu pewną sytuację na przyszłość.

Jednostki bardziej przedsiębiorcze lub synowie wojskowych i urzędników administracyjnych kolonii, zaraz po skończeniu studiów ruszają za morze by tam zdobywać majątek i stanowisko.

Ten pęd do krain egzotycznych, mało znanych, dzikich, tak charakterystyczny dla rasy sprawił, że obecni potomkowie Normanów mają w swym władaniu trzy czwarte globu ziemskiego. Węzły uczuciowe jednak łączące Anglika z jego krajem rodzinnym nie wygasają nigdy, po latach wraca do swego kraju by zostać tu do końca życia.

Studia wyższe do niedawna były przywilejem tylko najbogatszych. Większość uniwersytetów angielskich nie wy-



Zabawa

łączając słynnego Oxfordu i Cambridge są instytucjami o charakterze prywatnym subwencjonowanym jedynie przez państwo. Nic więc dziwnego, że czesne jest nadzwyczaj wysokie, opłata za internat t.zw. hostel jest również wygórowana i tylko synowie najbogatszych rodzin mogą zdobyć się na jej płacenie.

Wziąwszy pod uwagę, że student musi uprawiać jeszcze szereg sportów, kupować sobie sprzęt, płacić za trenerów i boiska zrozumiemy dlaczego studentów w Anglii jest stosunkowo niewielu.

Obecnie sytuacja cokolwiek zmieniła się, szereg instytucji publicznych, samorządów, państwo, osoby prywatne udzielają stypendiów niezamożnym młodym studentom, którzy wykazali się już albo pracą w szkole średniej, albo przeszli trudny konkursowy egzamin. Dlatego też podwoje uniwersytetów są szeroko otwarte, ale tylko dla bogatych i zdolnych.

Wyższe studia pomijając oczywiście politechniki i nauki ścisłe, mają za zadanie wyrobić przede wszystkim typ kierownika, człowieka, który zajmując wysokie stanowisko będzie potrafił trzymać twardo w garści siebie i innych. Stąd też na naukę nie jest kładziony duży nacisk, więcej się myśli o wychowaniu.

Skończenie uniwersytetu daje nieraz prawo zajęcia odrazu wysokiego stanowiska w administracji kolonialnej. Zdarza się, że młody, bo zaledwie dwudziestoletni człowiek zajmuje odpowiedzialne stanowisko przychodząc do pracy bez podstawowych wiadomości z zakresu funkcji, które ma spełniać. W takich wypadkach angielski system wychowawczy wykazuje wszystkie swe zalety. Wyrobione poprzednio poczucie odpowiedzialności i zdolności kierownicze, sprawiają, że młody student w krótkim czasie zmienia się w poważnego, świadomego swych obowiązków i celów urzędnika, którego najwyższym prawem jest dobro Połączonego Królestwa.

Nim skończy się sielski, anielski okres szkolny, młodzież beztrosko myśli tylko o sportach. Zawody tenisowe lub baseball pomiędzy poszczególnymi gimnazjami są zarazem wielkim świętem. W ostatnich latach można zaobserwować żywiołowy pęd do turystyki. W okresie ostatnich 6 lat wybudowano 300 schronisk, posiadających 8000 łóżek, z których może korzystać tylko młodzież szkolna lub uniwersytecka.

Tradycyjny doroczny, trwający już blisko od stu lat wyścig Cambridge — Oxford interesuje całą Anglię.

Pedagogowie angielscy widzą w sporcie nie tylko czynnik wychowania fizycznego lecz także charakteru.

Doceniając znaczenie przysposobienia wojskowego dla obronności państwa w ostatnich latach władze szkolne wespół z ministerstwem spraw wojskowych przeprowadziły znaczne zmilitaryzowanie zakładów naukowych. Znikł typ młodzieńca ćwiczącego chwyty karabinem w jaskółce (uroczysty czarny garnitur) i cylindrze.

Coraz więcej uczelni posiada własny tabor w postaci czołgów, tankietek, sprzęt wojenny, jak ciężkie karabiny maszynowe, armatki przeciwpancerne itp.

Dzięki doskonałej kondycji fizycznej wypracowanej ciągłymi ćwiczeniami i sportem, wyszkoleniu na sprzęcie wojskowym i zaletom charakteru młodzież angielska potrafiłaby doskonale spełnić swę zadanię obrony państwa, gdyby zaszła tego potrzeba.

S. L.

BYŁO TO W KWIETNIU...

Wspomnienia maturzysty z Junackich Hufców Pracy.

W nieco niewyraźnym nastroju maszerowałem ze stacji w R. do koszar 65 drużyny, dokąd po ukończeniu Kursu w Jasieńcu przydzielono mnie jako starszego junaka — zastępowego.

W małej walizce miałem kilka książek, przybory do golenia i jakieś tam jeszcze drobiazgi.

Padał deszcz, rozmiękła szosa nie zachęcała bynajmniej do dalszej drogi, ale brnąłem w ślizgim błocie po kostki, uparcie i wytrwale, pogwizdując sobie dla otuchy jakiegoś— nie pamiętam już jakiego — fokstrotta.

Ale chmurne niebo — i drobny kapuśniaczek — nastrajają zgoła inaczej — smętniej i raczej melancholijnie.

To też sam nie wiem jak, po jakimś fantazyjnym zaimprowizowanym „przejściu" wesoły „foks" przeszedł w rozpaczliwą „Ostatnią niedzielę".

Ale oto widać już wieżę zamku pokrzyżackiego — przy którym, jak mnie objaśniano — miały znajdować się koszary.

Poprawiłem krawat, czapkę na głowie przesunąłem na bakier zamruczałem pod nosem jakąś weselszą piosenkę — westchnąłem i wkroczyłem do zadymionej kancelarii.

I odrazu... Nie zbyt dokładnie pamiętam co się ze mną działo od tej chwili.

W przerażająco szybkim tempie — z piętnaście razy podałem imię i nazwisko, datę i miejsce urodzenia, imiona przodków do siódmego pokolenia — wstecz, miejsca poprzedniego zamieszkania — znaki szczególne, ilość posiadanych jeszcze zębów — posiadanego przy sobie inwentarza — wypełniłem i podpisałem z pięć list i wykazów — wkońcu zapaliłem papierosa.



Ale gdzie tam — zaprowadzono mnie do magazynu... i... i po godzinie paradowałem w lnianym mundurze, nieco zaciasnym i grubych butach, nieco za dużych.

Nakarmili mnie, pokazali gdzie mam spać, gdzie się myć, którędy chodzić — jak słać łóżko — jak czyścić buty, a jak zęby — przedstawiono mój zastęp — i ponieważ było to już po apelu wieczornym — kazano pójść spać.

Pokazało się, że w drużynie jest wielu, naprawdę sympatycznych chłopców. Duża stosunkowo różnica wieku, temperamentów, usposobienia, inteligencji zaciera ten sam mundur — ta sama sypialnia — jadalnia — ten sam teren pracy — ta sama łopata, — którą każdy równie sprawnie włada.

Zaprzyjaźniłem się odrazu z wszystkimi i wkrótce czułem się jak w domu.

Po śniadaniu — (mętna kawa była naprawdę lepsza niż najlepsza kawa w domu, — czerstwy chleb smaczniejszy od najwymyślniejszych smakołyków, drużynowy dzieli zastępy do pracy.

„Zastęp pierwszy do budowy boiska".

Zastępowy — (to znaczy ja) występuje — chrząka dla nabrania fasonu i wydaje jakąś tam komendę.

Dwuszereg jednak wykonuje prawidłowy zwrot, prawidłowo załamuje się w czwórki, prawidłowo wyrusza — prawidłowo idzie, prawidłowo śpiewa — a ja z nim.

Pierwsze wbicie łopaty w ziemię. Pierwsza rozwalona gruda. Pierwsza taczka napełniona ziemią — którą „na oko" zdawało się nie uniosę, a cóż dopiero wieść ją sto metrów na przeciwny koniec boiska.

Ale jakoś tam poszło. Nawet niespodziewanie lekko.

Potem druga, trzecia, dziesiąta, pięćdziesiąta.

Po miesiącu — na miejsce dotychczasowego drużynowego, który został przeniesiony do innej drużyny — otrzymałem awans. Zostałem drużynowym. Czy wiecie co to znaczy?

Dyplom maturalny, z którego byłem do niedawna tak dumny — był niczym wobec tego dekretu nominacyjnego.

Dnie mijały. Opaliłem się, ba nawet utyłem.

Aż, przyszedł dzień... Ze ściśniętym sercem spakowałem walizkę — kilka książek, przybory do golenia i jakieś jeszcze — nie pamiętam jakie drobiazgi.

Z trudem powstrzymałem łzy żegnając się z drużyną.

Mżył drobny deszczyk. Jednakową linijką, tą samą drogą tak samo rozmokłą — jechałem wolno w stronę stacji. Piękne były te chwile spędzone w drużynie. Żal mi było opuszczać tych snarych szczerych, wesołych chłopaków...

Toruń **W. Slawik**

NOWA USTAWA O SŁUŻBIE WOJSKOWEJ

Nowa ustawa o powszechnym obowiązku służby wojskowej uchwalona ostatnio przez Sejm, zawiera szereg zmian, które wzbudziły duże zainteresowanie wśród młodzieży szkolnej, ze względu na to, iż zmiany te reformują dotychczasowy system pełnienia obowiązku wojskowego przez młodzież z cenzusem.

Nowa ustawa, której podlegać już będą abiturienci opuszczający w roku bieżącym mury szkolne, nie przewiduje w przeciwieństwie do ustawy poprzedniej odraczania służby wojskowej do czasu ukończenia wyższego zakładu naukowego.

Motywem, który kierował władze wojskowe, przy wprowadzaniu tej nowości, był wzgląd na konieczność odmłodzenia kadr oficerów rezerwy.

Dotychczasowa praktyka wykazała, iż młodzież zbyt późno rozpoczynała służbę wojskową, a w rezultacie stopień podporucznika rezerwy uzyskiwała dopiero w wieku 27-28 lat.

Jeśli się zwróci uwagę na to, że warunki wojenne wymagają od oficera wielkiego wysiłku fizycznego, to jasnym jest, iż w wielu wypadkach oficer rezerwy miałby w tym wieku pewne trudności w pokonywaniu ogromnej pracy fizycznej, jaka poza pracą dowodzenia siłą rzeczy przypadałaby mu w udziale.

Nie był to zresztą motyw jedyny. Praktyka wykazała, iż młodzieniec, który dopiero co opuścił ławę szkolną jest jeszcze wdrożony do karności, łatwiej przystosowuje się do zdrowego regulaminu wojskowego, niż ludzie, którzy zakosztowali już nieograniczonej wolności akademickiej.

Był jeszcze wzgląd trzeci. Jest rzeczą zrozumiałą, iż młodzież, która dopiero co opuściła mury szkolne, nie zna ani życia, ani siebie samych, i stając wobec trudnego dylematu wyboru zawodu popełnia często omyłki, które później drogo kosztują. Rok służby wojskowej poprzedzony czterotygodniowym przeszkoleniem w junackich hufcach pracy, pozwoli młodzieży poznać nie tyle może świat, ale przede wszystkim samych siebie, przekonać się o swojej własnej wartości oraz o umiejętności współżycia z ludźmi.

Pod względem technicznym proces pełnienia obowiązku wojskowego przez poborowych z cenzusem będzie od roku bieżącego poczynając, wyglądał w sposób następujący.

Natychmiast po egzaminie maturalnym w r. bieżącym, a po uzyskaniu świadectw licealnych w latach przyszłych, abiturienci powołani zostaną przez komisje poborowe, które zadecydują o zdolności poborowego do służby wojskowej.

Po otrzymaniu kategorii „A" młody człowiek będzie mógł udać się do domu (jeśli do szkoły przyjechał gdzieś z prowincji) i oczekiwać będzie na kartę powołania do junackich hufców pracy, gdzie odbędzie czterotygodniowy kurs pracy przymusowej.

Należy z naciskiem podkreślić, iż ten czterotygodniowy pobyt w junackich hufcach pracy jest obowiązkowy, a niespełnienie tego obowiązku lub usunięcie z junackich hufców pracy powoduje odebranie praw do skróconej służby wojskowej.

Motywem, którym kierowały się władze wojskowe wprowadzając dla przedpoborowych przymusowy okres pracy fizycznej, wykonywanej pospołu z elementem tak zwanym nieinteligenckim, jest pogląd, iż obowiązkiem każdego obywatela jest poznanie w praktyce, zrozumienie i nabranie szacunku dla pracy fizycznej, którą zajmuje się 3/4 obywateli Państwa Polskiego.

Z punktu widzenia społecznego jest rzeczą nie tylko pożyteczną, ale bezwzględnie konieczną, aby element wśród którego znajduje się, bo się musi znajdować, przyszły Prezydent Rzeczypospolitej, przyszły wódz naczelny przyszli ministrowie, lub kierownicy wielkich ośrodków produkcji, aby ten element zrozumiał i nauczył się szanować pracę fizyczną, która leży u podstaw budowy państwa.

Po odbyciu kursu pracy młodzież rozjedzie się do domów, a na jesieni powołana zostanie do czynnej służby wojskowej, która trwać będzie 12 miesięcy.

Dopiero potem, już jako podchorążowie, zapisać się będą mogli na wyższe uczelnie.

Abiturienci, którzy przez komisję poborową uznani zostaną za czasowo niezdolnych do służby wojskowej, mogą zapisać się na wyższe uczelnie, na których przysługiwać im będzie odroczenie służby wojsk. do czasu ukończenia studiów.

Dzięki nowej ustawie o powszechnym obowiązku służby wojskowej młodzież wraz ze świadectwem dojrzałości uzyska możność spełnienia pierwszego i najważniejszego obowiązku obywatelskiego, jakim jest obowiązek służby w armii Rzeczypospolitej Polskiej.

L A W I N A

Autorem tego opowiadania jest znany alpinista polski, uczestnik wypraw wysokogórskich w Andy i Alpy oraz na Kaukaz.

Humory były fatalne. Przez cały czas, ściśle mówiąc — od chwili naszego przyjazdu do Chamonix, lał deszcz. I to nie byle jaka „trzydniówka" czy, tak dobrze nam znana, beznadziejna „siąpawica" tatrzańska, nie! lało — co się zowie!

Uciekały dnie urlopu, słone ceny hotelowe wypłukiwały skromną zawartość naszych kieszeni, a barometr uparcie trzymał swoją wskazówkę... „poniżej granicy przyzwoitości".

Wszystko jednak ma swój koniec, skończyła się też i niepogoda w Alpach. Skończyła się nagle, wtedy — kiedy traciliśmy już nadzieję... zobaczyć w ogóle góry. Pewnego słonecznego poranka ukazały się nam w całej swej krasie, przystrojone bielą świeżospadłych śniegów. Nad głębokim wcięciem doliny, nad ciemnymi plamami lesistych zboczy, uciekały w błękit... nie! nie w błękit a w ciemny, aksamitny granat! alpejskiego nieba iskrzące się lodowce, wiecznymi śniegami nakryte zerwy.

Mont Blanc! Rozłożysty, potężny, przeszło 3 i pół tysiąca metrów nad dno doliny wyniesiony szczyt! Najwyższy! Najhonorniejszy!



Przełom lodowca na Mont-Blanc'u fot. Ostrowski

Czasu nie marnowano. Jeszcze tegoż dnia wyruszyła nasza trójka, dźwigając plecaki, zwoje lin, dzwoniąc stalowymi „rakami" i czekanami. Nocować tego dnia mieliśmy już bardzo wysoko, w malutkim schronisku, misternie przylepionym do wystającej ponad pola śnieżnej skały.

— — —

Pusto było w schronisku. Byliśmy jedynymi gośćmi. Dzierżawca, stary przewodnik alpejski, wyga górski, co to nie jedno na lodowcach i zerwach skalnych przeżył, obrzucił nas spojrzeniem nieufnym, trochę drwiącym.

— Mont Blanc? — uśmiechnął się krzywo. Mruk był, słówka cedził powoli, jak przez sitko do herbaty. Poza tym coś go widocznie irytowało. Ze złością przesuwał garnki, tłukł się po malutkiej kuchence. Wreszcie rzucił nam ni to pytanie — ni to twierdzenie:

— Ostatnio była niepogoda?

Przytaknęliśmy. W Chamonix lało bez przerwy.

— Tak, tak, lało od trzech tygodni. Na te „trzy tygodnie" położył dziwny nacisk. Nie zaprzeczaliśmy.

— A więc? Czy nie lepiej by było gdybyśmy ze 2 — 3 dni posiedzieli u niego w schronisku?

Nie bardzo zrozumieliśmy logikę takiego rozumowania. Co wreszcie ma piernik do wiatraka? Deszcz lał — deszcz przestał, dziś mieliśmy już śliczną pogodę a i na jutro wszystko zapowiada się jak najlepiej. Pójdziemy na szczyt.

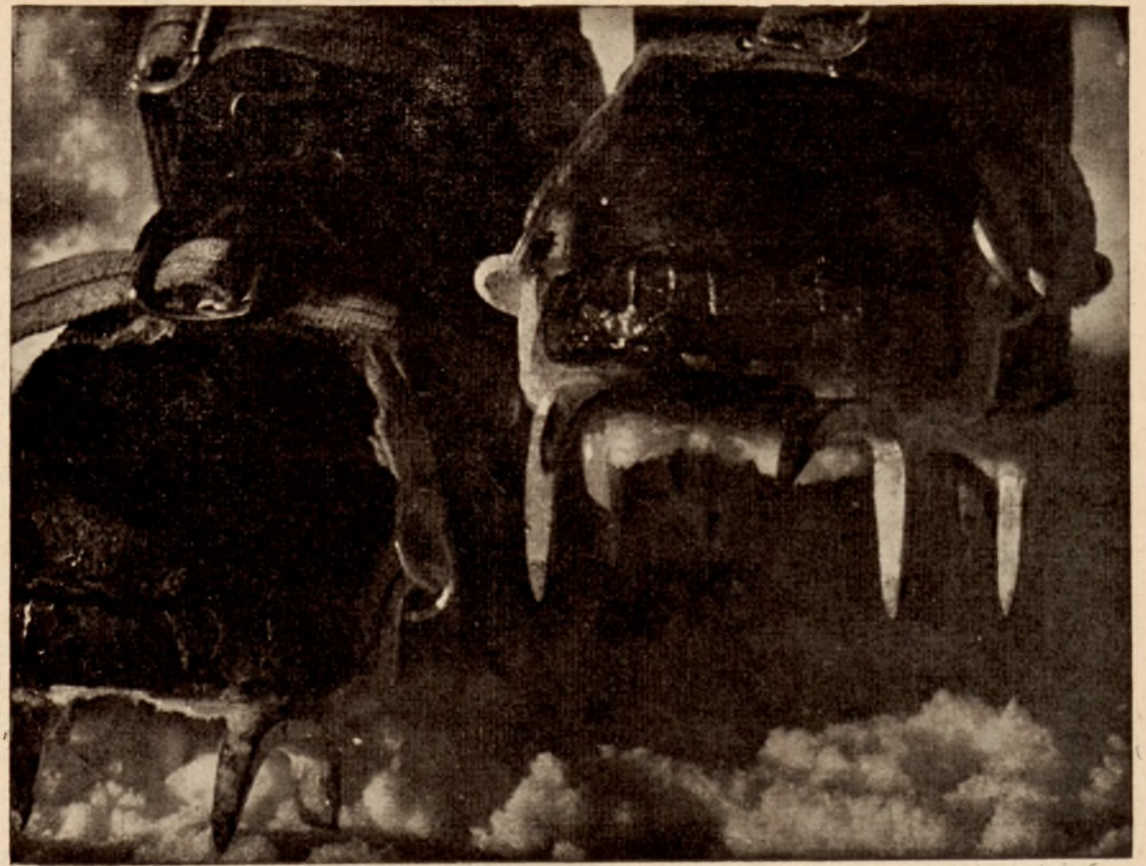
Brzęk rzuconego ze złością cynowego talerza i gniewny pomruk — Ale w Chamonix przecież lało bez przerwy?

Znów przytakujemy i... nic nie rozumiemy. Wreszcie wybucha. Przecież, mój Boże co za dziwni ludzie. Przecież, jeżeli w dolinach lało, bez przerwy, to tam — w górach, bez przerwy padał śnieg, padał przez trzy bez mała tygodnie! Całe zwały świeżego śniegu! A czy wiemy jak wyglądają zbocza Mont Blanc'u po takich opadach? Czy tam w dole, w naszych nizinnych miastach, słyszeliśmy co o lawinie? Przecież świeży śnieg musi się uleżeć, zespolić z podłożem!

— — —

Debatowaliśmy nie długo. Argumenty gospodarza schroniska były ważkie, ale znacznie bardziej przekonywującymi były... ceny schroniskowe wywieszone na drzwiach kuchenki. Mogły śmiało konkurować z najbardziej luksusowym hotelem i zupełnie nie wytrzymywały zestawienia ze skromną zawartością naszych kieszeni.

Przyznam się nawet pocichu — posądziliśmy wtedy gospodarza o chęć wyeksploatowania tych kieszeni.


„Raki"

Decyzja zapadła: wyruszamy o świcie. Nakręcamy budzik i idziemy spać.

— — —

Im wyżej — tym więcej było świeżego śniegu. Wkrótce brnęliśmy już po kolana w sypkim białym puchu. Trzeba było ciągle zmieniać się w prowadzeniu. Torowanie szlaku męczyło bardzo.

Szczeliny lodowca, rozpadliny sięgające wiele, wiele dziesiątków metrów w głąb, aż do dna lodowych rzek, nakrywały zdradzieckie mostki śnieżne. Posuwaliśmy się więc bardzo wolno, próbując dosłownie każdy krok.

Pierwsze promienie wschodzącego słońca złapały nas pod Grand Plateau, w olbrzymim kotle śnieżnym. Zrobiło się odrazu ciepło, ba! gorąco! Niecka śnieżna zbierała promienie słoneczne jak ognisko wklęsłego zwierciadło, grzała niczem lampa kwarcowa. Pot ścieka ciurkami, zalewa oczy, ciągle trzeba zdejmować i przecierać ciemne okulary przeciwsłoneczne. A śniegu coraz więcej. Zapadamy się wnim coraz głębiej!

Od Grand Plateau dzieliło nas zbocze. Jakie 200 — 300 metrów wszystkiego, ale to „wszystko" było bardzo przykre. Miałem dziwne przeczucie.

Mozół wspinania się po lodowym, pokrytym grubą warstwą świeżego śniegu, zboczu nie łatwo opisać. To trzeba widzieć, trzeba doświadczyć, że tak powiem na własnej skórze. Zaszczyt, a jednocześnie — wątpliwa przyjemność, prowadzenia całego zespołu na tym odcinku przypadła na mnie. Stromizna wzrosła tak, że o tym, by który z kolegów mógł mnie zmienić, trudno było marzyć. Jak jaki pług śnieżny ryłem korytarz, związani ze mną liną koledzy posuwali się w odstępach 15 metrowych.

Musiałem długo grzebać nogą, zanim uzbrojony w stalowy rak but trafił na twardy lód. Świeży śnieg nie dawał żadnego oparcia, usuwał się ciągle i w ogóle... było bardzo nieprzyjemnie.

Do południa było jeszcze daleko, ale upał lodowcowy dawał się mocno we znaki. Wolałbym takie zbocze przechodzić znacznie wcześniej, przed wschodem słońca. Na jednym z krótkich przystanków nawet coś w tym sensie powiedziałem kolegom. Zakrzyczeli mnie. Do Grand Plateau brakowało może jeszcze ze sto metrów, jakoś przejdziemy. Wracać do schroniska? Czekać? Spotkać się z drwiącym spojrzeniem starego przewodnika?! Byłem w mniejszości. Odsapnąwszy zacząłem wspinać się dalej. Zrobiłem zaledwie jeszcze parę kroków, jak...

To co nastąpiło — trwało może parę sekund, może minutę, a może i dłużej. Są jednak w życiu takie chwile, które rozciągają się jakby w nieskończoność, a pamięć o nich pozostaje żywą na zawsze. Są to chwile, kiedy, jak mawia jeden z moich przyjaciół, człowiek robi krok na „Tamtą stronę", ale cofa się i cieszy się życiem w dalszym ciągu...

Jakiś głuchy odgłos... takie przeciągłe — oooohhh! Parę metrów nade mną, przez całą szerokość zbocza przebiegła kreska, błyskawicznie rozszerzyła się, przecięła stok. Coś poderwało mi nogi. Rozpaczliwie szukałem oparcia dla stóp, dla rąk! Napróżno! Wszystko było płynne, ruchome... Parę sekund — to jakiś diabelski, rwany film, szereg luźnych obrazków: przerażona twarz kolegi wbijającego z całych sił czekan... urywek myśli: czy zatrzyma?! potem białość, słońce, widok własnych butów na tle granatowego nieba, znowu białość, brak tchu...

— Trzeba pływać! Trzeba utrzymać się na powierzchni! Nie dać się! Nie tracić głowy! Nie powiem bym był wtedy spokojny i z zimną krwią rozważył sytuację. Nie! to byłoby grubą przesadą i miałoby posmak

ordynarnej blagi. Lecz w takich momentach zaczyna działać instynkt, pierwotny instynkt człowieka walczącego o swe życie, instynkt niezawodny.

Nie wiem, słowo daję, że nie wiem — jak — ale nie daliśmy się, utrzymali na powierzchni pędzącej masy śnieżnej, nie pozwolili by lawina wciągnęła nas pod siebie, stłamsiła, przygniotła wiele set tonowym ciężarem, sprasowała...

— Przysypany, czy nie? Szarpnąłem całym ciałem. Nogami mogłem ruszać, mogłem też unieść prawą rękę. Lewa dłoń kurczowo osłaniająca usta była uwięziona razem z głową. Wygrzebałem się. Trochę nieprzytymny leżałem na zastygłym w bezruchu cielsku lawiny i przecierałem oczy. Z rozciętej wargi płynęła obficie krew.

Koledzy?!!! Podniosłem głowę i zobaczyłem cudowny obraz, może najpiękniejszy, a w każdym bądź razie najprzyjemniejszy, jaki miałem w życiu — dwie śmieszne, oblepione zupełnie śniegiem postacie wygrzebujące się z pod białego całunu.

Chciałem im krzyknąć coś przyjemnego, wesołego, lecz jakoś spojrzałem w górę i wrzasnąłem tylko z całych sił:

— Uciekać!!! Na bok!!!

Biegliśmy potykając się co chwila, plącząc się w zwojach łączącej nas liny. W odległości kilkudziesięciu kroków, na jakimś śnieżnym pagórku padliśmy obok siebie i sapali, jak sto lokomotyw razem wziętych. Chodziło o to, że z nami razem zjechała lawiną tylko dolna połowa zbocza, natomiast górna, jakby nożem odcięta wisiała nadal i lada moment mogła zlecieć na nas. Wtedy... no tak, wtedy napewno nie pisałbym tych słów...

— — —

Leżałem na wznak. W słońcu. Grzało tak cudownie! W ogóle było pięknie na tym bożym świecie. Serce waliło: tuk - tuk, ale już miarowo. Chciało się śmiać.

— A wiesz? minę miałeś okrutnie głupią!

Paliliśmy milcząc. Były to chyba najsmaczniejsze papierosy w życiu. W na nowo rozpoczętym życiu...

A na Mont Blanc'u, na szczycie Białej Góry, byliśmy za trzy dni. I potem jeszcze wiele razy. I rozmaitymi szlakami alpejskimi. I trudnymi, i bardzo trudnymi. Ale chyba najwięcej emocyj dostarczyła nam ta nasza pierwsza próba, to nasze zapoznanie się z Alpami.

Wiktor Ostrowski.



CIEKAWOSTKI

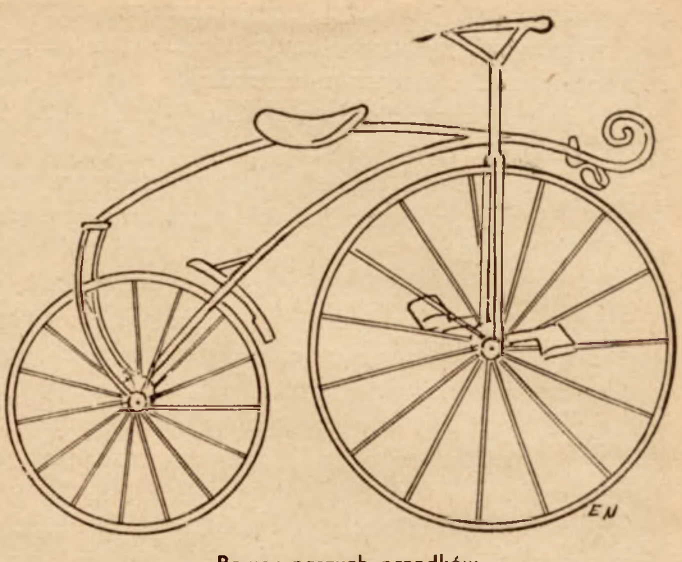
ROWER I MOTOCYKL

Przyglądając się sunącym po gładkich drogach Danii, czy Holandii tysiącom rowerów, albo patrząc na bohaterskie iście zmagania się raidowców sportowych w biegu dookoła Polski, lub w Tour de France, ani się nie domyślamy, że rower jest przyrządem starym, powstał on, kiedy budowano kościół Mariacki w Krakowie. Naturalnie wygląd dzisiejszego roweru odbiega daleko od jego prototypu średniowiecznego, ale idea jest podobną. W końcu 16 wieku genialny Leonardo da Vinci narysował model maszyny, poruszanej naciskiem stopy, przy pomocy sznura bez końca, biegnącego od kół przednich do małego koła, do którego przyłączone były przyrządy bardzo podobne do pedałów. Cała ta maszyna opierała się na czterech kołach drewnianych, była niezmiernie ciężka i prawdopodobnie dlatego niewysportowany nasz pradziad nie mógł jej w ruch wprowadzić. Ale już wcześniej istniały maszyny drewniane, których rysunek boskiego Lionarda da Vinci był zapewne udoskonaleniem. Był to po prostu czterokołowe wózki pozbawione dna, które popychało się nogami, poruszającymi się swobodnie w pustym wnętrzu wozu. Po Leonardzie zaginął znowu pomysł roweru. Spotykamy go dopiero wieku 18, już jako trzykołową zabawkę dziecinną, popychaną ręcznie przy pomocy obracania korbek, podobnych do dzisiejszych pedałów, połączonych z przednim pojedyńczym kołem. Napęd na przednie koło, dziś zupełnie zarzucony, utrzymał się tylko w rowerach dziecinnych, bardzo żywo przypominających nam prototyp z epoki pudrowanych, a niekąpanych markizów.

Olbrzymie przednie koło, o średnicy półtorametrowej, zaopatrzone w pedały, wysokie, maleńkie siodełko, i z tyłu, śmieszne, maleńkie drugie kółko. Na takich rowerach jeździli poważni ponowie z bokobrodami w zapiętych pod szyję frakach, jasnych ineksprymablach ze strzemionami, halsztukach i cylindrach. Zaczął się taki rower rozpowszechniać wszędzie, oprócz Anglii, gdzie królowa Wiktoria zobaczywszy raz towarzystwo jadące na tych wehikułach przez aleje parku windsorskiego, zauważyła, że nie wydaje się jej to stosownym i jazda na czymś podobnym nie dowodzi starannego wychowania. I w Polsce nie uważano takiej jazdy za rzecz odpowiednią dla ludzi dobrze wychowanych, ale z innej przyczy: Moskale bali się rowerów. Dopiero na schyłku istnienia takiej dziwacznej maszyny o nierównych kołach generał - gubernator warszawski wydał pozwolenie na ruch po drogach publicznych welocypedów, czyli bicykli.

Owe drugie, tylne, małe kółeczko zaprzątało umysły konstruktorów. Coś trzeba zrobić z tym śmiesznym dodatkiem. Liczne wypadki spadnięcia z roweru, z dwumetrowej blisko wysokości, naka-

zywały obniżenie całej maszyny. Ale nie umiano jeszcze tego zrobić. Wreszcie wprowadzono po raz pierwszy tak zwaną przekładnię, to jest różnicę w ilości zębów kół trybowych pedałowego i tylnego, dzięki czemu przy jednym obrocie koła pedałowego otrzymujemy kilka obrotów (zwykle do trzech) koła tylnego, i w ten sposób uzyskujemy oszczędność w ruchach mięśni w stosunku do przebytej drogi. Tak powstał rower nowoczesny, któremu tylko od owych czasów przybyły opony ze sprężonem powietrzem, zamiast dawnych obręczy żelaznych i gumowych pełnych, zmniejszono wagę ramy, wykonywanej dziś z rur stalowych, i poprawiono kształt siodełka, oraz jego resorowanie przy pomocy sprężyn. Wszystko to dokonało się niemal wczoraj, bo zaledwie 50 lat temu. A dziś już kilkadziesiąt milionów rowerzystów sunie po drogach całego świata. Coby powiedziała dziś dobra królowa Wiktoria, widząc swego kuzynka, króla duńskiego, na rowerze na ulicach Kopenhagi? Widok ten, bardzo częsty, jak twierdzą Duńczycy, albo wywołałby znowu uwagę wielkiej monarchini o braku starannego wychowania w niektórych rodzinach panujących, albo może skłoniłby królowę do większej przychylności dla tego najtańszego i najprostszego środka komunikacji.



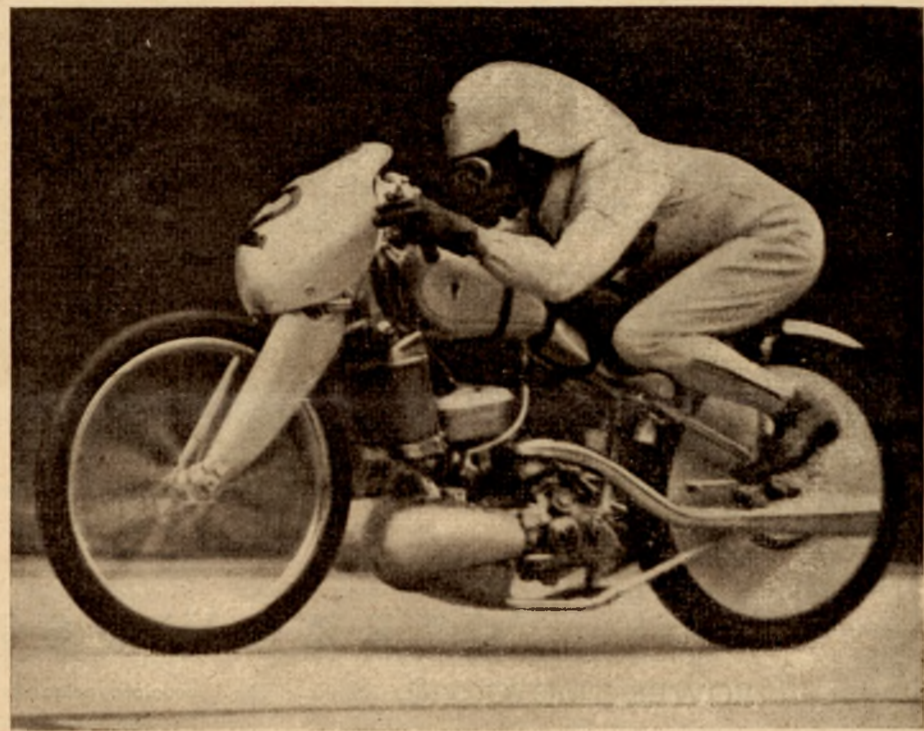
Rower naszych przodków.

Żyjemy w ciekawych czasach. Jesteśmy świadkami ponownego konstrukcyjnego łączenia się roweru z pojazdem czysto mechanicznym, który powstał jako ewolucja roweru, a mianowicie z motocyklem.

Zabawny widok pierwszego motocykla, przypomina rysunki Leonarda de Vinci, prymitywnością rozwiązania konstrukcyjnego. Drzewo na kołach, ramie i podstawce silnika, z lanego żelaza, siodło podobne do końskiego, obite skórą, napęd na tylne koła przy pomocy skomplikowanego systemu kół trybowych, wszystko to dziś robi wrażenie czegoś niezmiernie odległego, dawnego, jakiejś starożytności technicznej.

A dziś potężne motocykle do pojemności 1000 cm.³, z bocznymi wózkami, lub tak zwane „solówki", (motocykle pojedyncze o poj. 600 cm.³) mają ramy z kutej i spawanej stali, koła zaopatrzone w opony gumowe o dużej średnicy, t.zw. „balony", silniki niezwykle precyzyjne, pozwalające na rozwijanie fantastycznych szybkości, przekraczających 140 km./godz. Już teraz zdawałoby się dosięgła szczytu doskonałość motocykli, teraz już wyłoniło się i zostało już gdzieniegdzie rozwiązane inne zagadnienie, dobrych dróg dla tak szybkich pojazdów. I tu nastąpił zwrot w stronę roweru. Przypomniano sobie o przodku motocykla, skromnym dwukołowcu poruszanym siłą nóg ludzkich, i zajęli się motoryzacją roweru, rozumiejąc dobrze, że w sporcie i komunikacji motorowej rower jest wstępem do motoryzacji. Fabryki niemieckie wypuściły na rynek silniki o pojemności cylindra 60 ccm, lekkie, małe, wbudowane w tylne koło roweru, które pozwalają na motoryzację w sposób najprostszy: zamiast dawnego tylnego koła należy wmotować nowe, z silnikiem, aby nalawszy mieszaniny benzyny i oliwy, której ten silniczek zużywa do 1,5 litra na sto kilometrów, osiągnąć szybkość do 30 kilometrów na godzinę. Pojawiły się liczne kombinacje roweru z motocyklem: rower motorowy z pedałami i silnikiem o pojemności 98 ccm, pozwalający na osiągnięcie do 55 km/g. na którym można też jeździć, jak na rowerze (w razie uszkodzenia silnika lub braku materiału pędnego) — i mały motocykl, o pojemności do 125 ccm, pozbawiony urządzenia pedałowego, pozwalający na osiąganie szybkości dochodzącej do bardzo poważnej już liczby 70 km/godz. Nawrót do słabych silników umożliwiony został dzięki doskonałości materiału, stali i lekkich metali, oraz dzięki rozwojowi silnika o małej pojemności.

Wacław Frenkiel.



Zdobywamy rekord! Szybciej!



Na zawodach...

PIĘKNOŚĆ I INTELIGENCJA

Uwielbienie całego świata mieć u stóp, żyć w blasku jupiterów, wcielać się w niebyłe postacie, przeżywać niezdarzone przygody — a za tym wszystkim, jak ogon za kometą, wlecze się luksus, więc auta i jachty, więc psy rasowe i konie, i wille na wybrzeżach Floridy, i kaprysy zaspokojone i podróże egzotyczne. Film, film, szaleństwo XX wieku!!

A potem w lustrze widzi się twarz własną, gdzie nie ma piękności, gdzie nie ma czaru — twarz człowieka, który młodość spędzi w szarym trudzie, a blaski i triumfy będzie oglądał na rogu, w kinie, zaszyty w najtańsze miejsca galerki i będzie się dziwił, jak to inni mogą wszystko, a on nic. — I o brak takiego waloru jak uroda, rzeczy niezasłużonej i nie do zdobycia rozbija się marzenie, jak bańka mydlana.

Tak sobie myślą jedni, inni znów, ci hojnie przez naturę obdarzeni, chcąc wyrwać się ze swego codziennego życia ślą bezradnie swoje fotosy do działu fotogenicznych, by choć raz ich twarz spojrzała tłumowi w oczy!

Tymczasem życie i gust publiczności sławą obdarza rzadko i dziwnie niespodziewanie. Bo czemu na przykład takie rekordowe powodzenie mają filmy z Herbert Marshallem? Twarz jak tysiące innych, pozbawiona urody, wolny sztuczny chód ułomnego człowieka. Hollywood mogący wybierać wśród najpiękniejszych mężczyzn świata, zaangażował inwalidę z Wielkiej Wojny, oficera kontuzjowanego pod Verdun i właśnie on okazał się ulubieńcem publiczności.

Artystą filmowym o zadziwiającej brzydocie jest Wallace Beery. Człowiek z twarzą przestępcy i bandyty, wykradziony zaułkom portowym, przyszedł do filmu jako czarny charakter — bo jakżeż taka twarz może się podobać, może wzruszać, może wywoływać uśmiech serdeczny? Tymczasem niespodzianie Wallace gra role ludzi o gołębim sercu, dryblasów, którzy w garści potrafiliby zadusić kilku ludzi, a którzy są tak nieporadni i anielsko subtelni, że świat ich wyzyskuje, a siły swej używają tylko w obronie dziecka.

Mała Shirley Temple kręci się przy nim bezpiecznie, jak w cieniu wielkiego kasztana. Zdawałoby się, że jeżeli chodzi o artystki filmowe, o kobiety, to ich sława musi być uwarunkowana fascynującą urodą. Było tak na początku, i Mary Pickford i Lily Damita podbijały świat cudnymi twarzami. Dziś najsławniejsze „staars" są najczęściej brzydkie, a mimo to królują wśród tłumu drugoplanowych statystek, z których każda jest premiowana pięknością.

Największa tragiczka ekranu Sylwia Sydney jest osobą o całkiem pospolitych, grubych rysach; sympatia całej młodzieży, wysportowana Joan Crowford w codziennym życiu uderzałaby nas nieprzyjemną urodą o wyłupiastych oczach, na filmie jest sławą. A Greta Garbo, a Claudette Colbert... jak wiele dużo piękniejszych kobiet spotkać można choćby na ulicach naszych



Wallace Beery — Metro-Goldwyn Mayer

polskich miast, a jakoś nikt ich nie porywa do wytwórni filmowych.

Czemu się tak dzieje, czy świat zaczyna gustować w brzydocie, czy sławne gwiazdy wybijają się krętymi drogami protekcji? Bardzo wiele znaczy oryginalność — jedno wampowate spojrzenie Marleny, jedno jej upozowane zdjęcie z czarnym kotem wzbudzało w widzach dreszcz sensacji, potrafiło pojęcie o estetyce wywrócić do góry nogami i stworzyć nowy typ kobiety, powabny w jej stylu, podobny do niej i równie brzydki jak ona. Pęd za oryginalnością stworzył typ wampa na scenie i w życiu, były fryzury a la Marlena, kapelusze a là Marlena i wszystkie kobiety mówiły basowym głosem. Oryginalność spospolitowała się i przyszła nuda.

Ale na ekranach dotąd utrzymują się twarze mające wyraźny odblask wewnętrznej kultury i inteligencji, artyści, którzy nie grają ślamazarnym uśmiechem, lub zabójczym spojrzeniem, którzy cały wewnętrzny zapas sił twórczych sygnalizują widzom subtelną, inteligentną grą.

A czasem zdarza się fenomen, gdy piękność idzie w parze z wewnętrzną kulturą i wielkim talentem i tworzy takie piękne postacie jak Garry Cooper, albo Deana Durbin.

J. Czarnocka.



Wybór Zawodu

Koniec roku. — Egzaminy. — Wizja wakacji. — I uparcie powracające nieznośne pytanie: co dalej? — Na co iść, jaki wybrać zawód, czym zostać? —

Pytamy, szukamy, myślimy.

A może chcecie usłyszeć zdanie osób, które już obrały pewną drogę, dowiedzieć się, co kierowało nimi, nim powzięły ostateczną decyzję?

Oto kilka wypowiedzi w tej sprawie; pierwsze z nich dotyczą osób, które przy wyborze zawodu kierowały się wyłącznie zamiłowaniem:

„Moim najmilszym zajęciem jest szycie. Szyję w szkole, w domu, bo mam młodsze rodzeństwo, ceruję, łatam..." (Liceum krawieckie).

„Chcę otworzyć sklep, bo w tym zawodzie dobrzebym się czuła". (Liceum handlowe).

„Lubię czytać książki o starożytnych, gdyż wprowadzają mnie one w inny świat, zawsze szalenie ciekawy". (Liceum klasyczne).

„Gdy skończę gimnazjum, będę pracować nad myzuką. Pokochałam ją na koncercie: gdy huczne oklaski zabrzmiały w całej sali, obudziło się we mnie pragnienie grania tak pięknie, jak ten oto pianista. Postanowiłam doskonalić się w tej sztuce. I tak się w niej rozmiłowałam, że za nic nie zmieniłabym swego zdania."

„Kocham lotnictwo. Od kilku lat uczęszczam na modelarstwo i konstruuję samoloty. Chcę latać".

„Jestem już marynarzem. Zawód ten przynosi wiele zadowolenia, zwłaszcza w gronie kolegów, na pełnym morzu. Co pewien czas zawija się do innego portu, widzi się innych ludzi, kraje, obyczaje..."

„Kiedy myślę o przyszłości, wyobrażam sobie małą szkołę polеską, w której chciałabym pracować. W marzeniach widzę moją szkołę..."

Często życie zmusza do obrania drogi. Dla niezamożnych tańsza szkoła, krótszy okres studiów, większa pewność zdobycia posady — są decydującymi czynnikami, dla których obiera się pewien zawód.

Czasem decydują potrzeby domu:

„Jestem w liceum administracyjnym, chcę pomóc rodzicom w prowadzeniu fabryki".

A teraz wypowiedzi, w których zawód jest traktowany jako sposób realizowania służby państwu lub „ludzkości".

„Cieszę się, że będę mogła przyczynić się do podniesienia kultury gospodarczej państwa" (uczennica liceum gospodarczego).

„Chciałabym pracować w spółdzielczości...".

„Chciałabym uczyć na wsi, bo tam jest szerokie pole do działania. Oprócz dzieci będę uczyła także starszych. Nauczycielka może dużo zrobić w swym życiu".

„Pragnę zostać lekarzem wiejskim — nie mogę patrzyć na ból ludzki, a tym bardziej na ból ludu wiejskiego".

„Lubię podróżować, nieznane rzeczy pociągają mnie i intrygują, chciałbym zwiedzić dalekie kraje. Chciałbym też tym nieznanym ludziom nieść pomoc. Zostanę lekarzem — w Indiach."

„Będę dentystką, bo chcę nieść ulgę ludzkości..."

A wy? — Co zrobicie ze sobą po skończeniu gimnazjum i liceum? — Dróg jest dużo i wiele możliwości i dużo ważnych placówek czeka na pracowników.

Dowiadujmy się, szukajmy. Znajdźmy sobie zawód, odpowiadający zdolnościom i zamiłowaniom, a zarazem niosący pożytek innym. A potem dążmy wytrwale do celu.

Każdemu na jego drodze — powodzenia.

Janina Saska

12 CZERWCA

Zbliża się dzień spółdzielczości, w rozwoju której coraz większej wartości nabiera udział młodzieży. Praca spółdzielcza uczy nas czynnego i twórczego stosunku do życia gospodarczego państwa, uczy współdziałania i współżycia, ponoszenia odpowiedzialności za wspólne dobro, pobudza do pracy dla gromady.

Spółdzielnie młodzieżowe najczęściej ujęte są w formy sklepików szkolnych, zaopatrujących uczniów w pomoce naukowe. Spotykamy jednak i ciekawsze formy pracy w spółdzielni. Np. „Samopomoc Lecznicza" uczniów szkoły powszechnej w Jaszczni liczy 106 członków. Udział miesięczny od 3 do 5 groszy. Dwa razy do roku przyjeżdża doktór i bada wszystkich członków. Chory leczy się na koszt Samopomocy.

Spółdzielnia szkoły powszechnej w Downarach z kilkoletnich nadwyżek obrotów kupiła: akwarium za 64 zł. mapy, globus i inne pomoce naukowe za 500 zł, biednym kolegom rozdano 110 zł. Przykładów pracy spółdzielczej możnaby jeszcze wiele przytoczyć.

Do stanu idealnego jednak, by spółdzielnia była jedynym dostawcą młodzieży szkolnej, jeszcze daleko.

Dzień spółdzielczości poświęcony jest propagandzie wartości tego ruchu. Mamy uprzytomnić sobie, że tu właśnie możemy nauczyć się realizacji hasła „przez pracę dla ogółu dobro jednostki". Spółdzielczość otwiera przed nami nowe horyzonty. Jest ruchem łączącym walory moralne z zdrowymi tendencjami gospodarczymi.

Na terenie szkoły istnieją ogromne możliwości rozwinięcia działalności spółdzielczej. Tylko trzeba zapoznać się z metodami pracy, zebrać kilku kolegów i... napisać o wynikach.

KORESPONDENCJE

Zamieszczamy poniżej garść korespondencyj z życia rozmaitych szkół. Pragniemy dział ten stale utrzymać i prosimy o nadsyłanie krótkich wiadomości z terenu szkoły.

Warszawa, Gimn. im. Batorego.

Rokrocznie gimnazjum nasze urządza wycieczki krajoznawcze. Mają one na celu zaznajomienie nas ze strukturą ekonomiczną, zabytkami oraz pięknem poszczególnych dziedzin Polski. Dotychczas organizowało je samo gimnazjum i były one uwieńczeniem całorocznej pracy na tematy związane ściśle z danymi okolicami np. po urządzeniu przez nas wystawy morskiej wyjechaliśmy nad morze, po wystawie motoryzacyjno - metalurgicznej na wycieczkę na Śląsk itp.

W tym roku ma się również odbyć wycieczka, lecz całkiem odmienna od poprzednich. — Mianowicie organizujemy ją sami, każda klasa jedzie oddzielnie do tej okolicy, którą uważa za najciekawszą.

Wycieczki te są poprzedzone licznymi referatami, dotyczącymi zabytków, historii, kwestii społecznych, gospodarczych danej miejscowości. Są te wycieczki o tyle lepsze od poprzednich, że urządzając je, wyrabiamy w sobie sprawność organizacyjną, a klasa, jako zespół ilościowo mniejszy, może głębiej i łatwiej wniknąć w zagadnienia ją interesujące (np. wysunięte w artykule W. Wysznackiej „Na pograniczu").

Ponadto prawie każda klasa opiekuje się szkołą na kresach, utrzymując z nimi stały kontakt, i zasilając je materialnie. **Marek Gadomski.**

Warszawa, Państw Liceum Drogowe.
Nasza Świetlica.

Szkoła jak szkoła, tak jak każda. Są uczniowie, profesorowie, klasy, korytarze, pracownie itd. Ale przecież nie każda szkoła jest taka sama, choć ma też swój lokal, też chodzą do niej uczniowie, a uczą profesorowie!

A dlaczego???

Państwowe Liceum Drogowe ma swoją świetlicę!!!

Dla naszego życia szkolnego to rzecz wielka, ważna i... miła. Bo świetlica to nie jeszcze jedno pomieszczenie szkolne, służące do nauki, to lokal nasz.. Tu właśnie centralizuje się całe nasze życie szkolne. Mamy samorząd, w świetlicy mieszczą się jego biura, odbywają zebrania, uroczystości. Mamy koło fotografów; świetlica ma coraz nowe zdjęcia i dekoracje. Mamy czytelnię, mieści się właśnie w świetlicy. Gramy w szachy; w świetlicy. Słuchamy radia; w świetlicy. Jednym słowem jakiej szukam rozrywki: taką zawsze w świetlicy znajdę. Jeśli nie, to zbieram kolegów, myślimy, radzimy i zabieramy się do roboty. Przy dużym wysiłku zdobywamy kolejno wszystko, o czym dawniej nawet nie marzyliśmy.

Świetlica, która tyle daje nam, wymaga przecież kosztów. Trzeba mieć lokal, światło, meble i wiele, wiele innych rzeczy. Te koszty musimy pokryć sami. Świetlica subsydiowana nigdy nie będzie miała dla nas tej wartości. Świetlicę muszą sobie zrobić ludzie sami, bo to co jest istotą świetlicy to duch jaki w niej panuje. Duch koleżeństwa, serdeczności i wesela.

Zygmunt Dąbrowski.

Gdańsk — Gimnazjum im. J. Piłsudskiego.

W dniu 3 Maja młodzież gimnazjalna wzięła udział w imponującej akademii, która się odbyła w wypełnionej po brzegi hali sportowej.

Głównym punktem programu było przemówienie gen. Kwaśniewskiego z ramienia L. M. K. Mówca w mowie podkreślającej lojalność narodu polskiego wobec rzeczywistości gdańskiej, stwierdził niezaprzeczalność naszych praw do władania ujściem Wisły i zapowiedział stanowcze wystąpienie całego narodu, w razie gdyby ktoś czynnie tym prawom chciał zaprzeczyć.

Burzę oklasków spowodowało powiedzenie, że Gdańsk jest guzikiem, wprawdzie źle przyszytym do sukni polskiej, ale w myśl wskazań marszałka Śmigłego - Rydza, nie pozwolimy tego guzika oderwać. Przemówienie znalazło silny oddźwięk w prasie zagranicznej na skutek którego sprawę tę musiał poruszyć organ oficjalny partii hitlerowskiej na terenie W. M. Gdańska, „Der Danziger Vorposten", który nie mogąc zahaczyć żadnego punktu przemówienia gen. Kwaśniewskiego, w krótkim artykule przelewa z próżnego w próżne, nie dając żadnego wniosku, który byłby zaprzeczeniem przemówienia.

Komenda Harcerek i Harcerzy w Gdańsku organizuje „Tydzień harcerski", w którym wezmą czynny udział drużyny gimnazjalne, a o którym obszernie napiszemy.

B. Turbaczewski

Gimnazjum im. Romualda Traugutta. Brześć n/B.
„Nasza Spółdzielnia"

Praca naszego zespołu „Straży Przedniej" w roku bieżącym odbywała się pod znakiem Spółdzielczości. Postanowiliśmy zorganizować na terenie gimnazjum Spółdzielnię, która zgromadziłaby w naszych szeregach większość młodzieży, niosąc idee i dążenia ruchu spółdzielczego. Ułożyliśmy szczegółowy plan pracy i wzięliśmy się z ochotą do roboty.

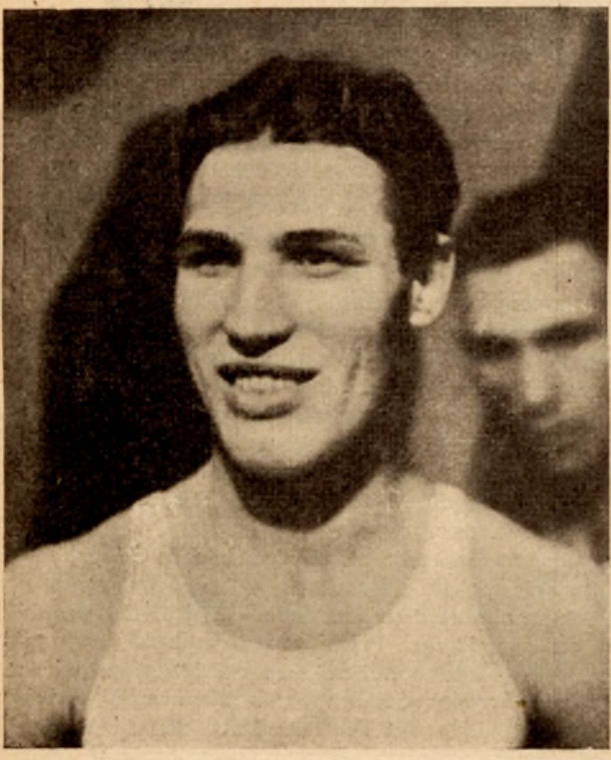
W rezultacie prawie całorocznej pracy zdobyliśmy około 200-stu członków i założyliśmy sklep z przyborami piśmiennymi, którego obrót roczny przekroczył sumę 1000 złotych. Program na rok bieżący przewiduje także zorganizowanie wymiany używanych książek.

Celem całego przedsięwzięcia jest zorganizowanie młodzieży naszego gimnazjum w jednej wielkiej organizacji, która przygotowałaby członków swych do pracy w zorganizowanych formach życia państwowego i napełniła młodzież entuzjamem do realizowania idei i dążeń ruchu spółdzielczego. **Tadeusz Orzechowski**

WPŁACAJCIE PRENUMERATĘ ZAŁĄCZONYM W DZISIEJSZYM NUMERZE BLANKIETEM ROZRACHUNKOWYM

TOLEK KOLCZYŃSKI

Tolka Kolczyńskiego poznałem przed kilku laty w Warszawie, na Krakowskim Przedmieściu. Wielkie, chude, w miarę obdarte chłopisko wskoczyło zręcznie w biegu do tramwaju, z pliką gazet pod pachą. Z pod strzechy krętej czupryny, zawadiacko przyciśniętej resztkami czapki, wyglądały poczciwe oczy dużego dziecka. „Wieczór Warszawski,



Tolek Kolczyński

Dobry..." Kupiłem od niego gazetę. No tak, bo Tolek handlował wtedy gazetami, był jednym z bezimiennego tłumu warszawskich gavroche'ów, „redaktorem", jak to określa publiczność, „kolporterem" — jak się gazeciarze sami nazywają.

Później — stykaliśmy się już codziennie. Tolek zapisał się do robotniczej świetlicy Polskiej YMCA, w której i ja miałem coś do powiedzenia. Wciągnęli go do Imki koledzy - gazeciarze. Byli z niego dumni. Bo jakże: Tolek był świetnym biegaczem. Najlepszym między gazeciarzami.

Tolek nie był złym świetliczaninem. Zawsze wesoły, koleżeński, był bardzo lubiany przez chłopców. Jadł „zupki" dla bezrobotnych, grał w warcaby, pozbywał się błędów pisowni na kursach poprawnego pisania, wyjeżdżał na obozy robotnicze Polskiej YMCA, do „Beskidu", koło Mszany Dolnej.

Zawiązaliśmy przy świetlicy sekcję bokserską, rozpoczęły się mecze publiczne. Tolek chodził na mecze, jako widz. A po tym krytykował: że zawodnicy — to patałachy, że nie mają pojęcia o boksie, że on by to lepiej zrobił. Tylko, że nie chce, bo nie lubi boksu. Woli biegać.

Pewnego razu dyskusja między chłopcami po jakimś, wygranym zresztą, meczu, przybrała ostrą formę. Chłopcy mieli dość krytyk Tolka. Postanowili mu dać naukę — Tolek został wyzwany przez najlepszego zawodnika sekcji, który miał za sobą już kilka zwycięstw. Musiał wdziać rękawice — bo go do tego zmuszono. Trzy rundy, przepisowo. Zaraz, w świetlicy — przy świadkach. Musiałem się na to zgodzić — nawet sędziować.

Tolek, mając pierwszy raz rękawice na rękach, wygrał swój pierwszy mecz bokserski. Ciężko — bo ciężko. Nie miał przecież pojęcia o boksie. Bił się, jak łobuz na ulicy, ale z sercem, do końca. I wygrał.

Pewnego razu na dwa lata przed olimpiadą berlińską, miałem z Tolkiem poważną rozmowę. Powiedziałem mu: „Tolek, weź się do przyzwoitego treningu pojedziesz za dwa lata na olimpiadę". Obiecał — ale biegać..."

Przyszły zwycięstwa. Tolek ma na rozkładzie Irlandczyka, Włocha, Norwega — wreszcie Muracha, Niemca mistrza Europy. Wygrywa przeważnie nockout'em — ma świetną technikę bokserską. Ostatnio, jako reprezentant Europy, wygrał w Chicago, w 3-ciej minucie przez nock-out z O'Malley'em i Yatesem. Jego kariera bokserska - amatora nie ma precedensów. Ma 21-szy rok, boksuje się dopiero 3 lata.

Na Olimpiadę do Tokio pojedzie. Ale nie jako biegacz, lecz bokser. Mimo, iż wciąż woli biegać, niż boksować. Pozostał takim, jakim był. „Dobrym Imciarzem" jak sam mówi.

Karol Rojek

NA SZLAK...

Zbliżają się wakacje. Koniec roku szkolnego — za pasem. Z chwilą otrzymania promocji, a nawet przy haniebnym „oblaniu się" — wypadniemy nagle z młyna lekcyj, powtórek, pytań, cenzur, trosk i kłopotów, skończy się gorączka mózgów i nastrojów, nastanie — spokój.

Jak ten krótki, bo zaledwie dwumiesięczny okres spokoju i odpoczynku wykorzystać? Jak go spędzić, aby na jesieni przystąpić do nauki z naprawdę nowym zapasem sił, ze świeżością umysłu, z nową odpornością? O to najprawdopodobniej zadbają rodzice. Powiozą synalka do modnego pensjonatu w jednej z miejscowości kuracyjnych, zabiorą go z sobą na jakieś letnisko, bliższe lub dalsze, wyślą go gdzieś do rodziny, na wieś. Będzie chłop pił wody, grał w tenisa, odbywał spacery po deptakach, będzie wzdychał i marzył w cieniu zadumanych drzew leżąc obok szemrzącego strumyka... A po tym wróci spowrotem do szkoły, o parę centymetrów wyższy i parę kilo cięższy — i będzie kolegom opowiadał o czynach niesamowitych i sukcesach odniesionych podczas lata.

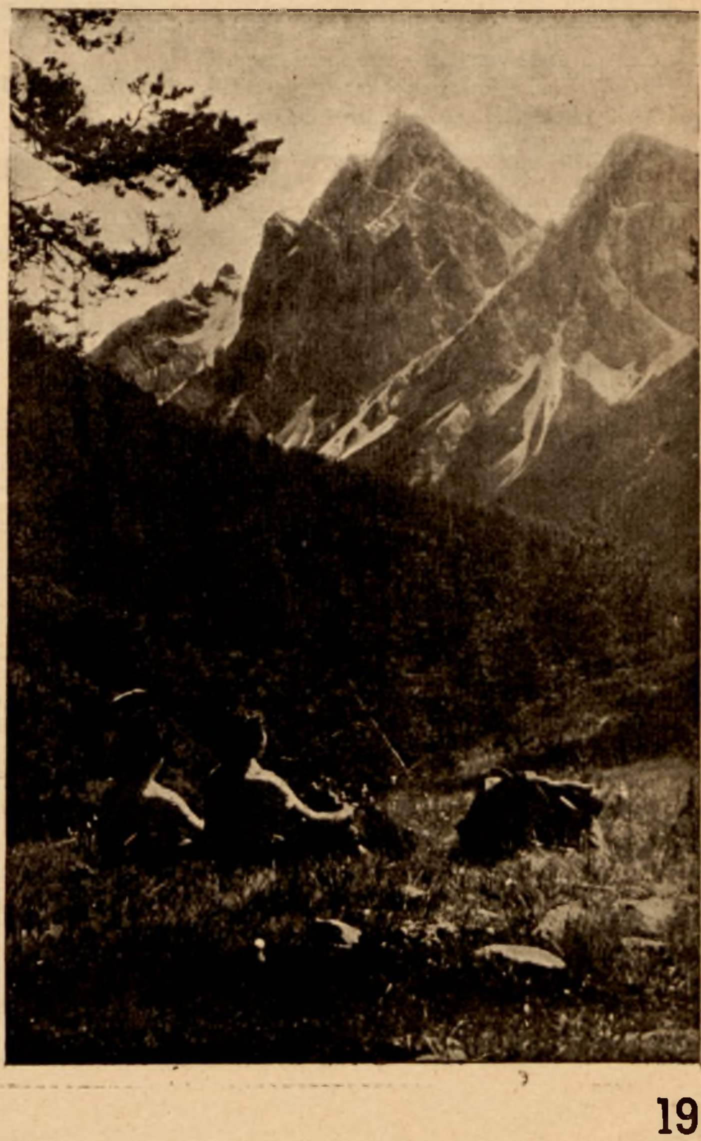
W roku ubiegłym, gdzieś w sierpniu, spotkałem przypadkowo w Polsce dwu młodych Francuzów. Spotkałem ich w sytuacji zgoła niecodziennej: zauważyłem pewnego razu, że zaperzony leśnik szarpie się z jakimiś młodymi chłopcami, wymyślając im za wkroczenie na tereny prywatne i rozpalenie ogniska, usiłując ich odprowadzić, jako przestępców, do leśniczówki. Chłopcy, doskonale wyekwipowani w sprzęt turystyczny i robiący jaknajlepsze wrażenie, przy pomocy dziwnie brzmiących słów i zwrotów od rzeczy usiłowali coś mu wytłomaczyć. Moja interwencja wyjaśniła sytuację: chłopcy byli właśnie Francuzami, odbywającymi wyprawę turystyczną po Polsce, nie znali zupełnie języka polskiego, a na teren prywatny wkroczyli, nie orientując się w treści zakazującego obwieszczenia. Ognisko zresztą mieli rozpalone zgodnie z wszelkimi zasadami obozownictwa i o pożarze nie mogło być mowy.

Bliższa znajomość i dłuższa rozmowa z miłymi gośćmi dała mi trochę do myślenia. Okazało się, że obaj, chłopcy siedemnastoletni, od dwu tygodni już wędrują poprzez Śląsk i Podkarpacie, prowadząc życie stuprocentowe koczownicze, zwiedzając po drodze kraj, zapoznając się z zabytkami i kulturą Polski. Zaopatrzeni w mapy i przewodniki, ze słownikami kieszonkowymi w ręku, świetnie sobie radzą i potrafią się dogadać z każdym, kto ma dobrą wolę ich wysłuchać. Celem ich wycieczki jest poznanie Polski, do której przyjechali, zachęceni i zaciekawieni odczytaniem jakiegoś reportażu o naszym kraju w jednym z pism francuskich. Podróżują pieszo, zaopatrzeni w plecaki, koce, mały namiot, naczynia do gotowania, aparat fotograficzny i inne akcesoria podróżnicze. Obaj pochodzą z Lille, jeden jest synem urzędnika miejskiego, ojciec drugiego prowadzi jakieś przedsiębiorstwo przemysłowe. Pieniądze na wyprawę zbierali przez cały rok, przy pewnej pomocy rodziców i dzięki uzyskaniu dużych zniżek przejazdowych udało im się zrealizować wycieczkę. Z podróży i wrażeń są zadowoleni, tylko ten leśniczy... No, ale z nim poprostu nie mogli się dogadać i są pewni, że nawet bez mojej interwencji wszystko by się pomyślnie skończyło. Mają zamiar zwiedzić jeszcze Warszawę, będą w Gdyni stamtąd pojadą morzem do swego kraju.

Gdy mi powiedzieli, że oni się przecież uczą cały rok, że samodzielne wyprawy turystyczne rozwijają umysł, wyrabiają ciało i kształcą charakter, że właśnie dzięki różnorodności wrażeń i całkowitej zmianie warunków bytowania są najlepszym wypoczynkiem — czułem się naprawdę zawstydzony...

Pomyślałem sobie wtedy, że oni chyba mają rację. Że nie ma porównania między pensjonatem i deptakiem, a kobiercem łąk i parkiem podkarpackich lasów. Że to zupełnie coś innego udawanie wioślarza na płytkiej sadzawce gdzieś w majątku, a wyprawa kajakowa w Pińszczyznę i na jeziora Augustowskie. Że z tą kuzynką to się tak bardzo nie pali, a opowiadać kolegom na jesieni — warto dopiero po prawdziwych przeżyciach, bez blagi i zawracania głowy, strojenia się w fałszywe piórka...

Dobra Natura wyposażyła nasz kraj w przenajrozmaitsze bogactwa. Hojną ręką sypała krasę naszym polom i łąkom, pokryła lasem wspaniałym łagodnie pofalowane Podkarpacie, spiętrzyła dziko i wyniosła pod chmury szczyty Tatr, rozlała szeroko cudne jeziora Augustowszczyzny, z naszej Szwajcarii Kaszubskiej zrobiła prawdziwy raj turystyczny, zachowała w dzikim stanie błota Poleskie, gdzie kwitną srebrzyście pola nenufarów, brodzą poważnie siwe czaple, zasłaniają słońce chmury dzikich kaczek, pierzchają trwożliwe kurki i perkozy... Dała nam obfitość wód wszelakich, królewską Wisłę, bystry Bug, sieć rzeczułek i strumieni, potężne pola wielkich jezior... Zapobiegliwość przodków naszych nagromadziła w wielu miejscach prawdziwe skarby kultury i sztuki. Historia usypała w naszym kraju wiele mogił bojowników walk o wolność Ojczyzny, związała z niemi piękne legendy. Praca obecnego pokolenia wznosi wspaniałe pomniki wiedzy i postępu, buduje nam Gdynię, Rożnów, Stalową Wolę... I wszystko to czeka na odkrywców. Czeka



na to, by młodzież polska rozniosła po kraju wieść o pięknie nieznanej nam samym Ojczyźnie, by pokazała nagromadzone w niej skarby ducha i rozumu, by przez młodzież—społeczeństwo całe, ci z Pomorza i kresów wschodnich, ze Lwowa i z Poznania, z zapadłej wioski podgranicznej i ze Stolicy — by wszyscy ci przez młodzież nawiązali braterstwo i wzajemnie się pokocholi, poczuli się z jednej ziemi, jednej krwi...

I my to możemy dokonać. My, młodzież szkolna. W sposób bardzo prosty. Zrywając na okres lata z wygodnym pensjonatem, organizując na własną rękę, po trzech, czterech — wyprawy wakacyjne. Pieszo, rowerem, kajakiem. Docierając wszędzie, rozmawiając ze wszystkimi, widząc wszystko, zbierając skarby gwary wiejskiej, zapoznając się z trybem życia i bytowania wielkich miast, drobnych miasteczek i wiosek, poznając ludzi, podziwiając piękne widoki Natury, oglądając dzieła sztuki i kultury, fotografując, opisując. Nauczymy się wielu rzeczy sami — nauczymy i zachęcimy do współpracy innych. Przetniemy Polskę milionem szlaków turystycznych. Odkryjemy w naszej Ojczyźnie takie cuda, jakich zadrościmy innym krajom, dowiemy się rzeczy, „o których nie śniło się filozofom..."

Wędrówki letnie nie są kosztowne. Ekwipunek nie jest trudno zdobyć. Oczywiście, jeśli nie mamy książęcych wymagań i gotowi będziemy narazić się na pewne trudy. Aby zachęcić niezdecydowanych — przypominam, że na czwarty dzień marszu nogi przestają boleć, po trzech dniach bolące pęcherze od wioseł zamieniają się w twarde odciski, a przy pewnej wprawie każdy może sobie zastąpić najbardziej rutynowanego kucharza... Pogadamy o tym zresztą w następnych numerach Młodego Nurtu.

Roja



INSTYTUT NAUKOWY RZEMIEŚLNICZY IM. MARSZAŁKA J. PIŁSUDSKIEGO

Nie wiem czy wiele z Koleżanek i Kolegów słyszało o Instytucie Naukowym Rzemieślniczym (Chmielna 52), chociąż jest to instytucja bardzo ciekawa i ważna.

Założone w r. 1891 Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej zostało przed dwoma laty przekształcone na Instytut Naukowy Rzemieślniczy imienia Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego Zmieniły się formy pracy, ale ogólna linia pozostała ta sama: dążenie do podniesienia poziomu rzemiosła w Polsce.

Znaczenie tej pracy jest wielkie, bo poziom rzemiosła bardzo ściśle łączy się z ogólnym wyrobieniem artystycznym w kraju.

Człowiek musi przyzwyczaić się do piękna na codzień, w domu, musi odczuwać je i poszukać go w przedmiotach codziennego użytku, nawet zupełnie zwykłych. Angielski pisarz, William Morris*) mówi, że jednym zadaniem sztuki dekoracyjnej jest: przysparzanie ludziom radości na widok rzeczy, których bezwarunkowo potrzebują" drugim — „przysparzanie przyjemności ludziom z prac, które bezwarunkowo wykonywać muszą".

Malarstwo, rzeźba, architektura, pozbawione naturalnego oparcia, jakim jest artystyczne rzemiosło, stają się oderwane od życia. Ludzie przestają je rozumieć. Również i dlatego jest tak ważny poziom artystyczny rzemiosła, a więc rzemieślników.

Dlatego początkowo Muzeum Rzemiosł, a obecnie Instytut, organizuje szereg Kursów dokształcających dla rzemieślników z uwzględnieniem ich zawodu. Kursy obejmują przede wszystkim rysunek, potrzebny w każdym zawodzie. Zajęcia Kursu odbywają się wieczorami, po skończonym dniu pracy, trwają po 3 godziny, przez 3 miesiące.

Przez 45 lat przeszło przez takie Kursy 23,5 tysiąca rzemieślników.

Instytut posiada bibliotekę, dostępną dla wszystkich. Zawiera ona przeszło 5 tysięcy tomów dotyczących zdobnictwa najszerzej pojmowanego. Dzieła, niektóre bardzo cenne, są we wszystkich językach. Z biblioteki korzystają ludzie najrozmaitszych zawodów, na liście czytelników widać podpisy: nauczyciel, ślusarz, stolarz, artysta malarz, uczeń. Wstęp do biblioteki jest bezpłatny (godziny biblioteki: 17 — 21, w niedziele 11 — 14).

Dolne sale instytutu zajmują zbiory sztuki rzemieślniczej polskiej, poczynając od XII wieku. Zbiory bardzo liczne i ciekawe, szkoda tylko, że tak nie miłosiernie stłoczone w małych salkach, przedmioty stają jedne przy drugich, często jedne na drugich, mimo to ustawione starannie, każdy opatrzony specjalnym napisem. Myślę, ile trudu wymaga utrzymanie ładu i porządku w takiej ciasnocie. Na szczęście nie długo ma być wybudowany nowy, wielki gmach. Da to Instytutowi szersze możliwości pracy. Ale i teraz warto obejrzeć zbiory, a jeżeli ktoś interesuje się więcej zdobnictwem, to warto spędzić parę godzin w bibliotece Instytutu.

Miejska Szkoła Sztuk Zdobniczych, Warszawa. **Zofia Rendzner**

*) „Sztuka, jej troski i nadzieje". I. Sztuki niższe.

N O W E W Y D A W N I C T W A

Seria sportowa:

Halina Sanówna „Pierwsza nagroda",
Bolesław Piach — „Zwycięzca",
Maria Gadomska — „Wyprawa na Komecie",
J. B. Rychliński — „Żagle na Oceanie".

Seria społeczna:

Bolesław Piach — „Dzwonnik roczdelski", „Klub młodych" i Zielony zeszyt".

Zdawać by się mogło na pozór, że trudno jest bardzo pisać o wszystkich tych książeczkach jednocześnie. Boć przecie dziwne jest to połączenie w jednej recenzji dwóch tak „krańcowych" dziedzin, jakiemi są sport i praca społeczna. Ale nie jest to dziełem przypadku. Przeciwnie. Przede wszystkim idea naczelna wydawnictwa, aby zerwać raz na zawsze z brukową literaturą dla młodzieży. Żeby dać jej literaturę czystą, szczerą i prawdziwą. Dać literaturę życiową, bliską nam i interesującą.

Sport i praca społeczna — to może rzeczywiście dziedziny odrębne. Ale przy bliższym ich poznaniu, można łatwo stwierdzić, ile mieszczą w sobie cech wspólnych. Bowiem sport wymaga oprócz wysiłku fizycznego pewnych zalet umysłu i serca. Sport przecież wyrabia siłę zarówno fizyczną jak i duchową. A ta znowu z kolei potrzebna jest koniecznie do pracy społecznej. Obie te dziedziny wymagają pokonywania przeszkód i trudności. Obie one wyrabiają siłę charakteru, obie wreszcie wymagają pracy. I praca ta właśnie jest naczelnym zagadnieniem w tych opowiadaniach. Tutaj chodzi raczej o pewne generalne właściwości tej pracy. O to mianowicie, żeby dawała ona pozytywne rezultaty. Obojętna jest dziedzina, w której dana jednostka pracuje. Ale nie obojętne są metody tej pracy i jej wyniki.

Wszystkie te opowiadania są żywe, interesujące. A co najważniejsze są prawdziwe. Każdy z nas spotyka w życiu, wśród kolegów, na wsi, czy w mieście takiego Olka Łobotnego. I każdy może z nas zachowałby się na miejscu inaczej. I długa mogłaby być dyskusja między nami, czy należało go wykluczyć z Klubu, czy też nie.

Gdyby mi zadano pytanie, która z tych książeczek jest najładniejsza, byłbym w nielada kłopocie. Bo wszystkie one, każda na swój sposób, potrafią przekonać czytelnika, potrafią ująć go i postawić jednocześnie wobec wielu nierozstrzygniętych zagadek, wobec wielu nowych niejednokrotnie problemów. Ale problemy te i zagadki wymagają, a właściwie pozostawiają, rozwiązanie ich samemu czytelnikowi. I to także jest wielką zasługą opowiadań.

Weźmy na przykład opowiadanie Bolesława Piacha pod tytułem „Zwycięzca". Postać Stefana jest prawdziwa. Przeżywamy z nim razem cały mecz piłki nożnej, po którym tak bardzo zmieni się jego życie. Przynajmniej tak przypuszczamy. Bo dotychczas jego życie było całym pasmem udręk i przykrości. I Stefan rozumiał to doskonale, że jest potrzebny w sklepie, że musi pomagać matce. Ale przy tym, widział jej zmartwienie, miał jakąś pewność, że po tym meczu... I mecz wygrał. Bo musiał wygrać. Pomimo, że spodziewał się nawet po tym obicia przez stryja. Przygotowywał się do meczu, pracował i miał tę pewność. A jego charakter? Był bohaterem dnia podczas meczu, ale zwycięstwa nie przypisywał sobie. Nie. — „...Myślał z uśmiechem o tym, że mecz wygrała cała drużyna, ale jeżeli o stryja Stacha chodzi... to zwyciężył go sam Stefan i nikt więcej..."

Jesteśmy przy zawodach, gotujemy razem z Antkiem obiad podczas wyprawy na Komecie i uczestniczymy w zebraniu Klubu Młodych. Poznajemy zagadnienie spółdzielczości ze strony praktycznej (Bolesław Piach: „Dzwonnik roczdelski"), oceniamy w pełni hart ducha bohaterów sportu. I ta bezpośredniość obcowania z życiem jest może głównym atutem autorów. Nie ma między nami bariery. Bo to może my sami jesteśmy tymi bohaterami.

Warszawa **K. Muszkowski**

UŚMIECHNIJ SIĘ!

Zaprawa uczniów szkół średnich do przyszłego zawodu.



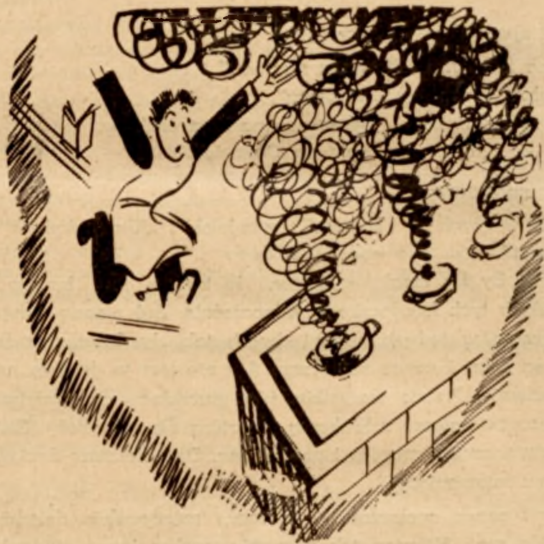
Gimnazjum Kupieckie



Liceum Przyrodnicze



Szkoła Rolnicza



„P. W. domowe"

REDAKTOR: Tadeusz W. Cieślak. WYDAWCA: Jan Radomski.

Prenumerata roczna (10 miesięcy) — zł. 2,80, kwartalnie — 0,85. Numer pojedyńczy 15 gr. Konto rozrachunkowe nr 362

Ceny ogłoszeń: 1/1 — 500 zł; 1/2 — 275 zł; 1/4 — 150 zł; 1/8 — 80 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Myśliwiecka 3. Codziennie od 10-ej do 14-ej.
Tel. Redakcji 8-63-66. Tel. Administracji 9-95-62.

Drukarnia »Społeczna«, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.